F. MIRANDOLA

TEMPORE BELLI

OPOWIEŚCI

WARSZAWA—KRAKÓW
Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie
Mazowiecka 12, Rynek Starego Miasta 11, Marszałkowska 143
1916.

907

TEMPORE BELLI

F. MIRANDOLA

TEMPORE BELLI

OPOWIEŚCI

Z DZIEJÓW RZĄDÓW ROSYJSKICH W GALICYI

902

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr 902

WARSZAWA—KRAKÓW
Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie
Mazowiecka 12, Rynek Starego Miasta 11, Marszałkowska 143
1916.

SN 23402

821.162.1-3

Czcionkami Drukarni Naukowej, Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

POWITANIE.

Ulice obumarły. Świeciły się wszystkie latarnie, rzucając pogrzebowy blask na mury. Domy tkwiły w podłożu swem jakby odrętwiałe tem, co przyjść ma i chociaż z poza gęstych stor tylko gdzieniegdzie przesiewało się światło, wiadomem było, że wszystko czuwa wewnątrz, że nic nie ma odwagi zasnąć. Jak dusza w bezsennem ciele zataczali się ludzie w obłędnej wędrówce od ściany do ściany mieszkań. Aby zasnąć, ileż trzeba mieć zaufania! Oto czego dowiedziałem się nareszcie ze zdziwieniem. Bo przez całe życie nikt nie pomyślał. Idę spać... rzecz zdawała się dotąd prosta. A tu... nie.

Owe latarnie, płonące od zmierzchu do rana, na które nie pozwalano sobie dawniej w niewielkiem miasteczku, spoglądały jak przerażeniem wytrzeszczone oczy w czerń zagadkową, czujne, a płochliwe, każdej chwili gotowe rozewrzeć się do granic ostatecznych wizyi śmierci porażone, i zamknąć na wieki.

Czuło się, że to życie, zagrożone w samych podstawach swoich, wytęża wszystkie władze, by dostrzedz zło potężne, idące... nieuchronne. Cała pewność, wszystko co było od pokoleń oczywistością nie podlegającą dyskusyi, wyrażało się teraz w... nadziei.

Może jednak ocalejemy... Byle nie znalazł się prowokator

Od dwu dni miasto było bez pana. Wszyscy powtarzali:

— Ocalejemy... byle nie znalazł się prowokator... byle ktoś nie popełnił głupstwa...

A iluż złych i gotowych na każdą podłość było w mieście.

W ciemnem mieszkaniu z przytulonemi do szyb twarzami siedziało dwu ludzi.

Właśnie w tem miejscu odchylała się od ulicy głównej, przy której stał dom, wązka przecznica, oświetlona jedną tylko latarnią, dalej czarna, tajemnicza. Prowadziła na dworzec i niedawno była dosyć ruchliwa. Dziś, zdało się, idzie w ton nocy, skąd ma przyjść zło. Dworzec znikł, roztopił się w ciemni jakby w poczuciu, że o niego to właściwie najbardziej idzie, że dozna czegoś złego i zło to sprowadzi na otoczenie... Okrył się ciemnością, jak dziecko chustką matki i myślał jak inni:

— A może ocaleję...

Dwaj ludzie, siedzący przy oknie, rozmawiali półgłosem i palili papierosy.

Często urywał któryś w pół zdania, chował papierosa za ramę okienną i nadsłuchiwał.

— Otwórzmy okno!—powiedział młodszy, chudy, wysoki.

— Nie... nie...—sprzeciwił się starszy.—Proszę cię, nie otwieraj. Mogą już być i myszkować cichaczem, szyba zalśni w świetle latarni... to ich zwabi... to zwabi niezawodnie.

— Jestem pewny, że jeszcze niema nikogo. Mam nawet ochotę wyjrzeć na ulicę.

— Nie pozwolę za nic. Widno jak na dłoni, zmierzy do ciebie, jak do tarczy na strzelnicy.

— Podobno źle strzelają.

— Ot, gadanie... może zresztą i źle... nie wiem, ale nie wychodź.

— Która godzina?

— Już druga...

— Dopiero druga... Wiesz co, ja mam dość tego. Chodź-

my spać. Nie rozbierzemy się oczywiście. Ty na tej kanapie, ja we fotelu, odpoczniemy... Co to...!

Jakiś zgrzyt nadbiegł z oddali... zgrzyt, jakby ktoś piłował żelazo...

Obaj znieruchomieli przy oknie. Zgrzyt zbliżał się. Towarzyszył mu teraz jęk przeciągły...

— Auto! — szepnął starszy.

Jęk zbliżał się szybko, można było już teraz dokładnie rozpoznać, że jakiś automobil pędzi z zawrotną chyżością.

— Ale pędzi! — powiedział starszy.

— Skąd wiesz? — spytał drugi.

— Poznaję po gwiździe.

— Czyj? Nasz?

— Skądżeby nasz... Zbyt niebezpieczne... Patrole widziano przecież już wczoraj.

— Gadanie o tych patrolach... patrz!

W tej chwili migła pod oknem czarna sylweta automobilu. Patrzący ujrzeli pochyło od przodu wozu sterczący nóż do przecinania drutów nieprzyjacielskich, przeciągniętych w poprzek drogi, dwie czapki nizko pod pęd pochylone, zwisające z tyłu fałdy złożonego dachu i heroglif kurzu, wyrzucony w górę tylnemi kołami, które darły ziemię z zaciekłością nieporównaną. Pędził czarny jak widmo, latarnie nie świeciły się.

— Nasi! — powiedział młodszy...

— Oni! Nie ulega kwestyi... Moskale! — zaprzeczył drugi.

Nagle, gdzieś niedaleko padł strzał.

— Widzisz, że nasi! — tryumfował młodszy.

Strzał zahuczał w ciszy przeraźnie. Niezwłocznie też poczerniały wszystkie okna mieszkań naprzeciwko. Latarnie, zda się, świeciły teraz biało, jakby trupiem jakiemś światłem, wobec którego różowy ton gromnicy jest jeszcze niezmiernie wesoły, żywy, pociągający...

— Moskale są w mieście...— szepnął starszy.

Zapadło milczenie. Tak więc stało się. Przyszło owo zło, którego oczekiwano. Nie zjawiło się jak burza, jako huragan łamiący drzewa. Przybyło cichaczem, z zakrytą twarzą chylące się ku ziemi, pełzające, lękliwe... tem straszniejsze.

Powiedziało raz tylko: Jestem! Potem zamilkło, zaszyło się w cienie uliczek, nie rozświetlonych ochronną szerzogą latarń... Siedziało tam gdzieś ostrząc pazury, podłe, nizkie, gotowe zarówno skoczyć do gardła, jak wziąć ogon pod siebie i uciekać na oślep.

Ale nie mogła przeciw niemu pomódz odwaga. Miało tysiące rąk, mnóstwo wężowych oplotów, które zwite leżały w czerni, ale prężyły się do ruchu. Ustępując tu, zagarniało z innej strony. Przyszło i znalazło wszystko leżące twarzą na ziemi, zamrożone strachem...

Bezpańskie miasto czemże się miało bronić.

— Byle nie zrobił ktoś głupstwa...

Tak się teraz nazywała odwaga, bezpośredni, uczciwy odruch oburzenia.

Siedzieli bez słowa, nadsłuchując bacznie, a obok lęku czaiło się w duszy każdego naiwne, dziecięce pytanie: Jak też to będzie wyglądało.

Nagle zahuczało. Trzask się rozległ i przedmiot jakiś spadł, z dźwiękiem tłuczonego szkła stoczył się na ziemię.

Zdrętwieli obaj. Siedzieli przez chwilę nieporuszeni, pewni, że to zło nieznane, tajemnicze jest już blizko... tuż, tuż... w domu, w pokoju...

Krew im zamroziło owo bezgłose pełzanie, niewyczuwalne zbliżanie się śmiercionośnej potęgi.

W ciemnej głębi pokoju był ktoś... ruszał się najwyraźniej... czuli, że się posuwa.

Nagle, na kolana starszego skoczyło coś. Zerwał się z krzykiem.

Na podłogę zeskoczył wielki kot, podniósł w górę głowę zdziwiony, zjeżył sierć, cofnął się o krok i dał potężnego susa pod szafę.

— To Mruczek! — powiedział młodszy i westchnął z ulgą.—Kyć... kyć!—zaczął wabić kota, ale daremnie. Zdziwiony przyjęciem, a może świadomy swej winy Mruczek nie chciał wyleźć z pod szafy.

Strącił coś szelma — rzekł starszy—mniejsza z tem zresztą. Jak ci się zdaje, czy oni są... czy już są?

— Możliwe... chociaż... przecież powinnyby przyjść patrole... wydaje mi się, że to się tak dziać powinno. Patrol konny, złożony z kilku ludzi... patrzno tam...

Na jasno oświetlonej ścianie przeciwległego domu zamajaczyły dwie postacie. Wydały się nadludzko wielkie. Dwaj kozacy, w niezmiernie wysokich czapach, bez koni szli trotuarem. Nie było słychać odgłosu kroków. Widocznie owinęli buty szmatami. W rękach ściskali gotowe do strzału karabiny. Szli chyłkiem popod ścianą, a doszedłszy do punktu, gdzie dzieliły się ulice, przystanęli. Rozglądali się przez jakiś czas.

Młodszy z czuwających, przyłożył twarz do szyby i patrzył z zajęciem. Nie widział dotąd kozaka. Cienie chwiały się ruchem dziwacznym na ścianie. Kiwały się w jakichś nieznanych pokłonach, ogromne ręce latały po wszystkich piętrach, jakby szukały poprzez mury zdobyczy. Kozacy spierali się o coś. Jeden pokazywał przed siebie, drugi w stronę przecznicy. Rozmawiali raczej na migi, czasem tylko padło przyciszone słowo w nieznanym języku.

Młodszy podniósł się szybkim ruchem z krzesła i przekręcił klamkę okna. Otwarło się cicho, bez szelestu do wewnątrz. Starszy rzucił się ku otwierającemu i chwycił go za rękę w porę jeszcze, by nie pozwolić na otwarcie okna zupełnie.

— Waryacie!—szepnął zduszonym głosem.—Co robisz?... Waryacie... waryacie!

Posadził go przemocą na krześle i zasłonił uchylone okno białą, przejrzystą firanką.

Szczęściem, uwadze kozaków uszło błyśnięcie szyby. Spierali się przyciszonym głosem dalej o coś. Nagle jeden z nich pokazał drugiemu żaluzyę sklepiku o kilka kroków od miejsca, gdzie stali. Żaluzya spuszczona była i zamknięta u dołu na zamek.

Porozumieli się szybko, przykucnęli pod sklepikiem i poczęli majstrować,

— Słuchaj Władek! — powiedział starszy stanowczym, jednocześnie cichym głosem. To, co zrobiłeś, mogło nas obu pozbawić życia. Pamiętaj. Miej zastanowienie.

Z ulicy dochodził teraz odgłos piłowania. Zgrzyt żartej jakiemś narzędziem blachy rozlegał się donośnie. Kozacy nie starali się zachowywać cicho. Wobec nadziei łupu zapomnieli o ostrożności. Zresztą kogóż się mieli bać... właściciela?

Starszy mówił do młodszego pocichu.

— Najwyższa ostrożność... Do ostatnich granic posunięta ostrożność jest rzeczą niezbędną, aż do chwili, kiedy zjadą jakieś władze. Strach pomyśleć, jak tu przeżyć dzień jutrzejszy. Jak się zachować...

— Ja właściwie — odparł młodszy — wolę, że już przyszli. Nie mogę się oprzeć uczuciu jakiegoś dziwnego, głębokiego uspokojenia. Najbardziej gnębiło mię czekanie. Dziwię się, że nie osiwiałem wczoraj. Już są... już nie czekamy, już nie będzie tych strasznych, wymarłych ulic... lepiej... dużo lepiej... Jestem niemal spokojny... wiesz?

— Co ty gadasz... co ty gadasz... jak można mówić o uspokojeniu. Ale cicho, nie rozmawiajmy. Mogą usłyszeć. Widzisz, jeden podnosi głowę, czegoś nadsłuchuje.

Jeden z pracujących zadarł głowę w górę. Potem wstał, odstąpił kilka kroków i począł patrzeć na piętro domu, w którym mieścił się sklepik. Ale okna były czarne, zasłonięte storami. Czy kto słyszał czy nie, nie odgrywało przecież żadnej roli, za nic na świecie nie byłby się nikt odważył zejść na dół.

Patrzący powrócił po chwili do zajęcia.

Popracowali jeszcze trochę, wstali i chwyciwszy oburącz nadpiłowaną blachę, zaczęli ciągnąć ku sobie, zaparłszy się obcasami o krawężnik trotuaru.

Z głuchem, przejmującem warknięciem rozdarła się podpiłowana blacha i ukazał się dosyć wielki otwór czarny.

Kozacy zabrali się do dzieła ze zdwojoną energią. Nie zważając już całkiem na hałas, krajali blachę i wnet błysnęły szyby drzwi wchodowych sklepu.

— Świta! — szepnął jeden z patrzących.

Noc się skończyła. Z dali poczęły występować ukryte kształty. Przecznica przedłużyła się — okoliły ją domy, obrzeżyły pokryte jeszcze liśćmi jesiennymi drzewa. Trotuary leżały jak linie białe na szarej płaszczyźnie, długie, białe linie szkolne, nachylone ku sobie, stykające się niemal tam, gdzie na tle nieba rysować się zaczynały powoli, niechętnie jakby sylwety budynków kolejowych. Latarnie łyskały teraz jak migotliwe punkciki.

Dom naprzeciwko biały był już całkiem. Okna poczęły przełyskiwać gdzieniegdzie. Ukryte kędyś wysoko na kominie czy wśród gzemsów pod dachem zaćwierkały wróble. Zrazu nieśmiało, trwożnie, potem coraz częściej, przybywało co chwila ćwierkotu i wreszcie popłynął śpiew chóralny, donośny, beztroski. Tam, wśród ptaków, nie bał się nikt. Wojna nie odgrywała żadnej roli, czapy kozackie nie dziwiły zgoła. Wróbel jeden sfrunął na ziemię i podskakiwał przymilnie o krok od pracujących w pocie czoła kozaków po trotuarze. Czekał poprostu na otwarcie sklepu z uzasadnioną pretensyą do śniadania.

Drzwi były już otwarte. Kozacy wchodzili naprzemian i wynosili wielkie naręcza rozmaitego towaru. Składali to po kolei na rozesłanej na ziemi płachcie. Niebawem spiętrzyła się znacznej wysokości góra. Pojedyńczych rzeczy nie można

było jeszcze rozpoznać, ale widać nie przebierali wcale, biorąc co wpadło pod rękę.

Wreszcie zaczęli szwargotać do siebie, wskazując ku wschodniej stronie. Widocznem było teraz, że się śpieszą. Ładowali jeszcze przez chwilę, potem zaczęli związywać końce płachty. Nie chciały się zejść, tedy zaczęli wpychać różne rzeczy do kieszeni, za pazuchę, gdzie mogli. Wreszcie wyrzucali mniej cenne rzeczy na ziemię. Nakoniec udało się związać płachtę i utworzył się ogromny toboł. Jeden z kozaków przyklęknął, a drugi z mozołem nielada wtoczył mu brzemię na ramiona. Ciężkie być musiało, bo aż przysiadł przy robocie. Dźwigający zgiętemi nogami postąpił krok i czapa spadła mu na ziemię. Zatrzymał się. Drugi wziął na ramię oba karabiny, podniósł czapę i coś wrzasnął, wskazując ku wschodowi. Obładowany zaczął toczyć się z trudem na środek ulicy. Właśnie znalazł się przed oknem patrzących, gdy nagle w dali zatętniało. Ostro dźwięczały podkowy biegących zda się po bruku koni. Dźwigający czynił nadludzkie wysiłki, by dojść do nizkiego parkanu, biegącego wzdłuż parceli sąsiadującej z domem, skąd patrzyli dwaj przyjaciele. Chciał go prawdopodobnie przerzucić przez parkan i w ten sposób ukryć przed oczyma nadjeżdżających. Ale nie zdążył. Tętent stawał się z każdą chwilą głośniejszy, wreszcie kozacy dali za wygraną i rzucili się do ucieczki w przecznicę.

Obaj patrzący stali teraz w otwartem oknie. Ciekawość przemogła obawy. Młodszy wychylił się pół ciałem i wysłał oczy na spotkanie nieznanego sobie wojska.

Za chwilę wychyliła się pierwsza postać. Z długą spisą pod pachą, na małym koniku jechał truchtem kozak. Jechał nie trzymając w ręku cugli. Przerzucił je przez łęk siodła, a za to trzymał w lewej ręce pistolet. Na głowie miał czapę z czerwonem denkiem a na spodniach jego jaskrawiły się podwójne czerwone pasy. Karabinek na jego piersiach podskakiwał przy każdym ruchu konia.

Ujrzawszy leżący na drodze tobół, zatrzymał się i obróciwszy się na siodle, coś gadał do jadących za nim. Niebawem utworzyła się na środku ulicy grupa jezdnych. Jeden z nich, jakiś starszy widocznie, rozejrzawszy się wokół, rzekł:

— Kakoj sukinsyn zdiełał eto? Haa? Nu sobieritie... sobieritie skarjej!...— rzekł zwracając się do podwładnych, którzy zaczęli zsiadać z koni.

Nagle spojrzenie jego padło na stojących w oknie.

— A eto kto? Haa? Eto wy, mierzawcy... Ha! ja wam...

Podniósł do oka pistolet.

Błyskawicznie, zanim patrzący mogli wykonać ruch jakiś, padł strzał.

Młodszy krzyknął głucho, zachwiał się, rozkrzyżował ręce i zwalił się na wznak.

INTERES.

Jak pies w obliczu kija skuliło się miasto całe i wzięło ogon pod siebie. Zda się, rzędy kamienic zwarły się silniej ze sobą, jak owce spłoszone, a z czarnych oczu-okien, pozbawionych firanek, patrzył strach i osłupienie. Po wszystkich piętrach dudniły rozgłośne, bezkarne kroki sołdatów. Nastała jakaś niepojęta, powszechna profanacya. Małe domki zapadły się w ziemię. Wiele z nich rozdarł jakiś olbrzymi nóż, wypatroszył, opróżnił ze szczętem, a z martwego zewłoku wyzierały dziurami wydartych wraz z ramą okien — łby końskie.

Po trotuarach leżały kupy nawozu. Place przybrały wygląd pustaci z nad Donu. Wyludnione, wymarłe zdawały się większe, jak zawsze większym wydaje się trup. Tu i ówdzie czerniły się po nich sylwety wozów wyprzężonych, lub znów sprzęgniętych do drogi, wyładowanych wysoko, pookrywanych jedwabnemi kapami, zdartemi z łóżek i barwnemi portyerami.

Monotonne śpiewy przechodzących oddziałów dudniły w uszach i mieszały się z chichotem kobiet, przelatujących u boku oficerów w automobilach, a zrzadka pojawiający się żydzi wyglądali jak wrony, porywające ukradkiem ze śmietnika ochłapy żeru.

Z przedmieść i z nad rzeki wiatr przynosił zapach ohydny. Śródmieście izolowało się od ulic dalszych, gdzie nikt bez koniecznej potrzeby nie zaglądał. Wieści tylko niejasne mó-

wiły o niezmiernych jakoby masach trenu, armat i obozowisk, jakie się tam miały znajdywać.

Niezbadanemi drogami dochodziły do miasta środki żywności, oraz pojawiały się ze znacznem opóźnieniem dzienniki ale te ostatnie po to chyba jeno, by sterroryzowanym odebrać resztę nadziei i otuchy.

Porwanym z synagogi żydom kazano pozamiatać ulicę pryncypalną, panował tutaj tedy wzorowy porządek, konieczny dla spacerów wysokiego naczalstwa, odbywającego wieczorem przegląd pięknych dam, przy akompaniamencie dalekiego, tajemniczego dudnienia, które było jakby partyturą na kontrabas w smutnej elegii życia.

Jęczały Karpaty.

Tygodniami, miesiącami całymi płynęło od strony południowej owo przeraźne, okropne, natrętne dudnienie, od którego słaniała się dusza. Ale gdy nastawał dzień, w którym zmilkło na chwilę, wszyscy chwytali się za głowy z jękiem.

— Cofnęli się! — szeptano sobie w uszy.

I ciemność opadała na miasto ciężka, gęsta, nieprzenikniona, chociaż słońce siało całymi tygodniami złote snopy promieni, a niebo turkusowe wolne było od najmniejszej chmurki.

Czasem zjawiała się w końcu którejś z ulic siwa plama.

Ukradkiem, z poza bram i uchylonych nieśmiało okien śledzili ją ludzie, a ona rosła, rosła i wreszcie przemieniała się w szereg siwo ubranych żołnierzy.

— Dziesięciu, dwudziestu... Boże... Boże... jeszcze idą... trzydziestu...

— A wczoraj? Ha?

— Było ze stu... nie... więcej...

— Jakaś pani mądra... Wiadomo przecież, że to ci sami.

— Cicho no... cicho. Chcesz się pani zobaczyć z prystawem?

— Wypchaj się pani swoim prystawem. Dobrze pani straszyć. Wiadomo przecież...

— Co wiadomo? Ha? Co wiadomo... powtórzno pani!

— Albo ja co mówię? Dajże mi pani święty spokój... Boże drogi, gęby otworzyć nie można, jak widzę...

Z „plennymi" rozmawiać nie wolno było, przechodzili ulicami ścichłemi całkiem. Czasem padła tylko w szeregi garść bułek, czy papierosów. Kłótnie i rozhowory wybuchały dopiero za ich plecami.

Na pryncypalnej ulicy stał na wierzchu dwuramiennej drabiny, okraczającej chodnik, Jan Mostek, i na szyldzie firmy „Michał Pąkalski, fabryka parowa wyrobów masarskich w Trupowie", przybijał tymczasowy, płócienny szyld w języku rosyjskim, który, jakby świadomy swej tymczasowości, korzystał z najlżejszego wiatru, by się bodaj jednym końcem oderwać od ramy szyldu prawdziwego i powiewać w powietrzu z głuchym, gniewnym warkotem.

Jan Mostek był „prawą ręką" wymienionej firmy, ale w czasach ostatnich musiał spełniać także funkcye ręki lewej i wogóle wszystkie funkcye, albowiem sam szef oddawał się dziwnym, tajemniczym praktykom, których jeno domyślać się było wolno.

Pan Pąkalski absentował się coraz częściej, tonąc w interesach, które nie wieleby zresztą obchodziły Mostka, gdyby nie fakt, że powodowały częste, ach nazbyt częste wizyty pewnego oficera z gradonaczalstwa w domu przy ulicy Polnej numer 45, gdzie się mieściło prywatne mieszkanie szefa, szefowej, ich córki Mani, i samego Jana Mostka, który tam zajmował pokoik kawalerski po drugiej stronie sieni.

Częste te wizyty były mu torturą straszliwą.

Czuł się nad wszelki wyraz nieszczęśliwym.

Stojąc u szczytu drabiny, z gwoździem w ustach i młotkiem w ręku, oddawał się czarnym myślom, a z dołu, z lokalu sklepowego dochodził piskliwy głos panny Leokadyi, wygła-

szającej na różne tony, ustawicznie jeden i tensam frazes po całych dniach:

— Niema niestety... Niema jeszcze. Może za jakiś czas... Niczeho... Izwinitie, pożałusta... Niet.

Wnętrze sklepu, jak wszystko zresztą w całem mieście, zmieniło się nie do poznania. Ongiś imponująco marmurowe, wonne, zdobne wielokilometrowemi girlandami kiełbas różnorakich i kiściami niewysłowionych szynek, zwisających, niby bajeczne owoce ogrodu Hesperyd z gałęzi mosiężnych tragarzy, przypominało teraz łaźnię po zamknięciu pary. Pustka wiała straszliwa ze wszystkich kątów, a polerowane ściany spoglądały sobie wzajem w twarze z tajonem obrzydzeniem przyjaciół, widujących się nazbyt często. Nie osłonięte niczem, odbijały się wzajemnie i stały tak naprzeciwko siebie od całych już tygodni, miesięcy nawet, zposępiałe, znudzone, ponure.

Milczały, ale w milczeniu tem był krzyk rozpaczy:

— Towaru! Towaru! Towaru!

U białego, pustego bufetu siedziała melancholijnie, na ręku wsparta panna Leokadya, najstarsza z panien zajętych niegdyś w sklepie, i podnosząc od czasu do czasu wzrok na jeden, jedyny, wiszący u mosiężnego haka płat paprykowanej słoniny, utwierdzała się coraz bardziej w przekonaniu, że towar ten musi chyba czekać powrotu Węgrów.

Oczy jej obiegały kołem puste ściany lokalu i wracały na karty leżącej przed nią książki.

Jedynem teraz zajęciem panny Leokadyi było powtarzanie po dwieście razy na dzień każdemu klientowi:

— Niema niestety... Niema jeszcze. Może za jakiś czas... Niet... Izwinitie pożałusta... Niet.

Dwie inne panny, z powodu zupełnego zaniku zajęcia, dymisyonowane czasowo, zajmowały się obecnie promenowaniem po ulicach, najchętniej pod sam nos pannie Leokadyi, która za każdym razem robiła minę lodowato obojętną, czując

jednocześnie, że ją żółć zalewa, ile razy była zmuszoną odpowiadać na ukłon koleżanek.

Panna Wisia i panna Cesia przedziwne posiadły teraz tualety. Nie marzyły one o niczem podobnem czasu pokoju, szaremi sukienkami przysłaniając wówczas nadobne kształty swoje. Cudownym iście sposobem, jak kwiaty zajaśniały nagle i chadzały rozmarzone, napudrowane, pogodzone z życiem i światem, i jeżeli nie wyrażały swego zadowolenia głośno, to jeno z obowiązku patryotycznego.

Jan Mostek czuł się nad wyraz wszelki nieszczęśliwym. Czarnym wydawał mu się świat i beznadziejnem życie.

Jego prostolinijny, jasny, buchalteryjny światopogląd przed kilku miesiącami wstrząśnięty do głębi, z dniem każdym niemal mroczył się bardziej.

W dniu kiedy kozacy zdarli orła państwowego z gmachu starostwa i gimnazyum, a także imponujący, złoty, wypukły, dwujęzyczny napis z budynku Rady powiatowej, wydało mu się, iż świat się walić zaczyna. Pewnym był, że zaraz potem nastąpi dalsze zdejmowanie i zwijanie wszystkiego, że domy zostaną zapakowane do wielkich kojców z łat i gdzieś wywiezione ku oczywistej zagładzie miasta, że ludzie gdzieś poprzepadają, a potem zwinięty zostanie sam horyzont, równia na której stoi zacny gród, dalej rzeka i same nawet sine góry, majaczejące w oddali.

Wszystko wydało mu się możliwem teraz; rzeczy najstraszniejsze o jakich nie śniło się nikomu, przemieniły się w rzeczywistość, która mogła jutro stać się faktem.

Niechby zresztą, wszystko przepadło, myślał rozpacznie, byle tylko została ona.

Owo „wszystko“ ostało się. Poturbowane znacznie, zmarniałe, zbrudzone, ale ostatecznie ostało się jakoś. Także i „ona“ nie poniosła szwanku widocznego.

Jan Mostek zaczynał się powoli godzić z koniecznością

zmienionych form życia codziennego, gdy nagle nastąpiła rzecz gorsza nierównie, niż sam nawet koniec świata.

Przez dni kilka chodził, jak własny cień, a nogi się pod nim uginały.

Wreszcie w głowie jego zaświtało pytanie, czy wogóle rzecz owa straszliwa stała się rzeczywiście.

Nie posiadał najmniejszego dowodu, a nie posiadając go, nie był w możności walczenia o szczęście życia.

Na jakiś daleki, ogólnikami wyrażony zarzut otrzymał natychmiast odpowiedź.

— Co? Ha, ha, ha... Dziwny z ciebie człowiek. Pamiętaj co mówi ojciec: Trzeba coś zrobić dla interesu. Nie mówmy lepiej o głupstwach.

— Dla interesu... Pal dyabli wszelkie interesy!

Pod wrażeniem wspomnienia przykrej rozmowy wykrzyknął ostatnie zdanie w głos.

Drabina zachwiała się gwałtownie, gwóźdź wypadł z ust, młotek z ręki i mało nie ugodził w samą głowę przechodzącej właśnie — Małki, która sama jedna w całem mieście posiadała sztukę wróżenia, oraz wyższą jeszcze sztukę dostarczania austryackiego tytoniu, którego ceny rosły zresztą w kwadratach odległości od chwili, kiedy można go było otrzymać w sposób normalny.

Musiał zejść na dół, a znalazłszy się na ziemi uczuł, że za żadne skarby świata nie wejdzie z powrotem na wierzch.

Odstawił przeto drabinę, oparł ją o mur i wszedł do wnętrza sklepu.

Panna Leokadya przyjęła go powłóczystem spojrzeniem i uroczym uśmiechem. Ale Mostek nie rozchmurzył się zgoła. Siadł na krześle stojącem obok bufetu i począł w milczeniu kręcić papierosa.

— A co? Strzelają dziś? — zaczęła panna Leokadya — powiedz pan. Prawda, że dużo bliżej. Mówię panu, bez porównania bliżej. Stawicka przysięgała, że na ulicy Ropuszej

szyby lecą z okien i ściany się trzęsą. Tu nic nie słychać, bo ruch, śpiewają opołczeńcy i jeżdżą automobile. Ale strzelają. Powiedz pan? Byłeś przecież z godzinę na dworze. Cóżeś to pan robił tak długo na drabinie. Pewnie się patrzyło za panienkami... Co? Ej, cicha woda z pana, panie Janie!

Mostek ręką machnął.

— Jakto, czyżbyś pan stracił nadzieję... co? Powiedz pan! Ale, ale... właśnie była tu Małka i... powiem panu w sekrecie... przysięgała się na wszystko, że nasi najdalej za dwa tygodnie tu będą. Ona wie... wszystko wie. Dopiero wczoraj wywróżyła Darniowej, że jej męża będą w szpitalu krajali... no i sprawdziło się, chociaż doktór zaręczał, że nie potrzeba. Powiedziała mnie samej tylko, wyjątkowo. Za takie rzeczy przecież ona bierze pieniądze i przysięgała się, że nikomu innemu nawet za dziesiątkę nie zdradziłaby tajemnicy. Za dwa tygodnie... zobaczysz pan. I jeszcze jedno. Spakowali piekarnie. O tem wszystkiem dowiedziałam się podczas kiedyś pan na drabinie dłubał w nosie i myślał o niebieskich migdałach. Więc tedy zapakowali piekarnie, jakie były na placu Świętojurskim. Słowo daję... fryzyer mówił, przyszedł umyślnie. Dowiedział się od jednego sanitaryusza, żydka. Powiada: To jest człowiek... ach, jaki człowiek, on jest od naszej wiary, ja pani za niego ręczę. Wczoraj wieczór przyszła depesza, i w galop zaczęli pakować... Niedopieczony chleb wyciągali z pieców i dalej z nim na fury. Tak mówił, co do słowa tak mówił... Ale panu coś jest. Powiedzże pan. Co panu dolega?

Mostek uczuł wielką chęć zatkania sobie uszu. Milczał, a każde słowo bolało go, jakby było gwoździem, wbijanym w głowę.

Panna Leokadya posiadała niezmiernie rączą wymowę, krzykliwy głos, nieposzlakowaną uczciwość, dobre serce, czterdzieści lat życia, 40 koron miesięcznej pensyi i tajoną na dnie serca nadzieję wyjścia za mąż za człowieka „statecznego". Z niestatecznych już zrezygnowała.

— I jeszcze jedno! — ciągnęła po chwili.—Mnóstwo oficerów wyjeżdża. Pojechał dziś rano pułkownik od Gedrojciów z willi przy ulicy Wilczej... wie pan? Dalej podobno spakowany już ten doktór od Przybyszowskiej, co to zabrał ze sklepu linoleum i dał kwitek z dziurą w środku zamiast pieniędzy... Pamięta pan przecież, jak Muellerowa płakała i poleciała do naczalstwa, i za to dostała jeszcze dziesięć nahajów. No... wszakże pan pamięta. To było zeszłego miesiąca jakoś z początku. Fryzyer mówił mi jeszcze, że cały sztab z ulicy Zamkniętej jest spakowany. Oni mówią, że jadą „na oddech". Znamy my ten oddech. Nie nam zawracać gitarę. Zresztą młynarz ze Starachowic powiedział Dubielowej, wie pan, tej kolejarce, co to jej męża pognietło, że dwadzieścia korpusów niemieckich przyszło w Karpaty. Aha... jeszcze jedno. Wiem napewno od dieńszczyka Pawlikowa, tego co to grymasił, że paprykowana słonina stara i mówił, że chyba Węgier może jeść takie świństwo... bałwan jakiś... Otóż wiem od dieńszczyka, że mają wyjechać na „oddech" niektórzy, ma wyjechać Niedobitow, Szczerbacki i Gławkin.

Pan Jan zerwał się z siedzenia.

Raj się przed nim otworzył. Światłość niezmierna, przejasna, niebiańska, zalała mu duszę. Musiał użyć całej siły woli, by nie wykrzyknąć radośnie:

Dzięki Bogu!

Zaczął tylko pośpiesznie chodzić po sklepie i zacierać ręce, jakby mu się nagle zrobiło zimno.

— Nie bardzo to na rękę panu Pąkalskiemu ten wyjazd Gławkina... snuła dalej swoje wywody panna Leokadya— prawda? Ale może to tylko bajki... co panie Janie?

Mostek, jakby mu nagle łuski z ócz spadły, począł znajdywać wszystko bardzo naturalnem i wiarygodnem. Nagła zmiana na korzyść wydała mu się najzupełniej uzasadnioną. Wszakże nawet w gazetach rosyjskich czytywało się, że znacz-

ne niemieckie siły pojawiły się w Karpatach. Stanął tedy przed panną Leokadyą i rzekł:

— I dlaczegóż ma to być bajką? Strzelają, coraz bliższe strzały. Sam słyszałem. Więc oczywiście jeden po drugim wyjeżdżają kanalie, bo wstydzą się zmykać kupą.

— Co pan mówi! — wrzasnęła uradowana.—Więc pan sam, na własne uszy słyszał głośniejsze strzały?

— Słyszałem. Nawet mimo ruchu, mimo automobilów.

— Ach, zaraz muszę powiedzieć Konopackiej... słowo daję.

Radość zalała duszę Mostka. Radość niezmierna i wdzięczność wielka dla tej dzielnej, bohaterskiej armii, która bije się w Karpatach z wrogiem i zbliżając coraz bardziej niesie wyzwolenie. Zbliża się, a przed nią uciekają draby... Przeklęte draby... zwłaszcza Gławkin.

— Na „oddech"...— zaśmiał się cieniuteńko... długo...—Będziecie wy mieli oddech!

Panna Leokadya spojrzała z ironicznym uśmiechem na Mostka:

— Proszę... proszę, nie wiedziałam, że z pana taki patryota.

— Proszę pani — odparł — ja nie gadam, ale co wiem, to wiem.

Przypomniał sobie nagle, że dotąd nie przybił szyldu. Porwał się iść. Przedtem jednak musiał szukać młotka. Znalazł go i włożył do kieszeni, nie zważając, że był obłocony. Już w drzwiach obrócił się ku pannie Leokadyi i spytał niby-to od niechcenia:

— A kiedy wyjeżdżają? Nie wie pani?

— Kto? — spytała zdziwiona.

— Ano... przecież pani mówiła. Ci, z gradonaczalstwa...

— Prawda... jakaż ja jestem... Fryzyer mówił... pan wie... żydki mają najlepsze wiadomości. Niedobitow ma jechać jeszcze dzisiaj... ha, ha, ha, pewnie panna Cesia także się ulotni... Paradne, słowo daję. Ta flądra jakaś...

— No a inni?

— Inni... doprawdy nie wiem. Ale Szczerbacki to przyjaciel Niedobitowa, pojedzie pewno razem z nim i zabierze drugą małpiszonkę... A kiedy chciałam przepustki dla Znamierowej, to mi szelma nie chciała wyrobić u tego swojego... amanta...

Pan Jan zawahał się. Miał nadzieję, że dowie się bez pytania wprost o terminie wyjazdu Gławkina. Nie śmiał pytać o niego samego. Zresztą mógłby okazać zbytnią radość, a przecież wyjazd ten stał w sprzeczności z interesami szefa firmy.

Wyszedł więc, ale miał niemal pewność, że razem z tamtymi dwoma Gławkin zwieje także. Wszak wszyscy stanowili nierozłączną trójkę. Tylko szelma Gławkin pojedzie już bez „bariszni"... Nie szkodzi... pomyślał... Podzielą się dwiema... przecież przyjaciele...

Walił teraz młotkiem z całej siły, tak, że szyld autentyczny jęczał przerażony niebezpieczną dla jego szklanej powierzchni gorliwością Mostka.

A jednocześnie snuł różowe marzenia.

Mania... choćby tam i zawieruszyła sobie trochę głowinę Moskalem... po wyjeździe jego będzie musiała pójść na pokutę... Tak, tak, dziewczęta lecą zawsze na mundur. Wezmę ją tedy krótko. I myśl o tem „braniu krótko" ponętnej Mani uderzyła mu do głowy, jak wino stare.

W nowem świetle przedstawiła mu się także działalność szefa.

Konszachty starego z Moskalem, których się bał niezmiernie i które uważał bądź co bądź za... jakoś... nie tego... wydały mu się obecnie genialnemi pociągnięciami na szachownicy życia. W rozradowaniu dusznem mówił półgłosem do siebie:

— Jak jest tak jest, ale koniki mamy. Kazionne, tak niczewo. Tanie, to grunt. Jest tego sporo, nawet więcej niż trzeba, by zwozić wieprze. Bez koni teraz ani rusz. Zarekwi-

rują i basta, jeślibyś chciał pędzić po dawnemu. Tak toczno. Kazionne czy nie kazionne, nazwoziły towaru. Zapałki... mąka, cukier, et caetera... wsio jest'. Teraz zaczeka się na ceny. Przyjdą nasi... powiadają, ceny pójdą w górę. Fajn chłopiec ten mój „staryk". Tylko, czy ceny pójdą w górę... hm... Ale on wie dobrze. Żeby to wieprze... psia noga. Ano poto pojechał, by coś wyniuchać. Prawda, Szmul ma przywieźć list. A potem, w sześć fur wio... po paciuki. A towar prześlicznie złożony, czeka sobie. Nie nasz fach... niczewo... teraz niema fachów. Adwokaci sprzedają naftę. Radcowie pompują wodę. I jak na radców wcale nieźle. Nie myślałem, żeby taka osoba umiała ruszać pompą. Najlepsze zaś to, że żydkom nie dają „propusków". Teraz handel pójdzie w nasze ręce. Sprawiedliwie. Nibyto łotr Moskal, a wiedział co zrobić... Ale ten mój stary, to psia noga mózgownica...

Skończył robotę, zeszedł na dół, zabrał drabinę i odniósł ją na swoje miejsce. Potem wrócił do sklepu.

Panna Leokadya wydała mu się, w rozradowaniu, w jakie popadł, niemal piękną, a w każdym razie niesłychanie sympatyczną i dowcipną i byłby ją uraczył chętnie jakiemś serdecznem słowem, ale właśnie robiła zaciekle politykę z jakąś damą w czarnym kapeluszu na głowie. Obie trzepały nieustannie, a warkot słów najdokładniej imitował grzechot karabinów maszynowych, czy rechot żab w stawie podmiejskim.

Siedział i słuchał czas jakiś. Zrazu odróżniał sens, a właściwie dwa sensy zdań wygłaszanych przez rozmawiające osoby, potem jednak zlało mu się wszystko w jeden jedyny szum, tak, że nie mógłby był powtórzyć ani jednego słowa, zbudził się dopiero, gdy dama w czerni poczęła się żegnać.

— A więc droga pani... — mówiła — proszę nie zapomnieć, przypomnieć pani Pąkalskiej, że ma dzisiaj dyżur w szpitalu do dziesiątej godziny wieczór w zastępstwie pani radczyni Bombowej. Proszę tylko nie zapomnieć! Doktór byłby bardzo

zły. Niema żadnej pomocy... jest sam i tak zmęczony, że się ledwo na nogach trzyma.

W mieście pozostał jeden tylko lekarz cywilny, dyrektor szpitala i damy przeróżne pomagały mu coś nie coś, pełniąc służbę samarytańską na zmianę.

Wieść ta dla Mostka okazała się doskonałą. Rozpromienił się jeszcze więcej i w radosnem upojeniu chwiał się formalnie na nogach, wychodząc ze sklepu.

Udał mu się ten dzień niesłychanie. A jednak był to poniedziałek. Ot, przesądy ludzkie.— Głupstwa? On sam do niedawna uważał poniedziałek za dzień feralny i nigdyby nie rozpoczął tego dnia liczenia książki kasowej, którą prowadzi i z którego to zajęcia był niezmiernie dumny.

Nonsens, myślał, idąc i dumając coby tu teraz począć. Czasu miał aż nadto. Wojna rozerwała zwyczajną, codzienną, snującą się przez czas nić życia normalnego. Nagle przystanął i rzekł sam do siebie.

— Obliczmy się. Teraz jest godzina... zaraz... —spojrzał na zegarek.—Wyśmienicie... akuratnie czwarta. Stara zaraz po podwieczorku zwieje do szpitala. Ona na to, jak na lato. Cudownie. Trzeba przynieść trochę kwiatów. Pensya wprawdzie z powodu wojny troszkę... nieto... Ale zawsze wydębimy z kamizoli niemnożko dieńgów.

Obliczył swój zapas i skręcił w ulicę, która prowadziła w stronę, gdzie mieszkał ogrodnik.

Z parkanu, otaczającego niegdyś wielki, starannie utrzymany ogród, nie zostało ni szczątka. Z trudnością tylko możnaby odnaleźć ślady uprawy. Drzewa odarte były z kory poogryzane przez konie, powalane jakiemś smarowidłem, nie posiadały wcale niższych gałęzi. Stały na zniszczonej parceli, rozczapirzonemi gałęźmi koron skarżąc się niebu, a pomiędzy niemi wałęsały się konie kozackie. Chodziły z głowami na dół spuszczonemi i wyskubywały mozolnie resztki trawy, sterczące tu i ówdzie na udeptanym na twardo gruncie.

Nad powierzchnią widniał ongiś szklany dach cieplarni, obecnie szyb pozbawiony i na dalszym planie domek właściciela. Ale i tu była kwatera, bo głowa Kubańca wyzierała przez wybite okno.

Mostek odnalazł ogrodnika w jedynej, pozostawionej mu na mieszkanie izbie od tyłu, gdzie mieścił się wraz z chorą, leżącą w łóżku żoną i czworgiem dzieci.

— Niesłychany jest ten pogodny uśmiech wszystkich ogrodników, myślał idąc za gospodarzem ku cieplarni, znałem trzech, a wszyscy tacy byli jacyś radośnie uśmiechnięci, chociaż dziady, jeden w drugiego.

— Poniszczyli wszystko—mówił ogrodnik, pochylony nad doniczkami. — Mam jeszcze trochę tych tu róż, parę palm i te ot tam habazie. Ale przyjdzie zima i wymarznie wszystko. Dziury w dachu i tyle... O... róże teraz, widzi pan, to rzadkość.

— Wiem, wiem — uspokajał go Mostek.— Ile pan policzy, zapłacę chętnie.

— Ja nie do tego mówię, proszę pana, tylko rzeczywiście teraz nie ustrzeże róży, ani innego kwiatka. Wszystko kradną dla tych swoich barisznów, czy jak im tam. Nie kupi szelma, tylko posyła dieńszczyka i gada... przynieś, ta i tyle.

Ogrodnik, przynaglany przez Mostka, musiał oddać połowę swego zapasu. Uczynił to niemal z żalem. Mostek patrząc nań zauważył znowu, że wszyscy ogrodnicy dają kwiaty jakby niechętnie. Kazał róże zawinąć w papier, tak aby nie widać było, że to bukiet, zapłacił i ruszył z powrotem ku domowi.

Ale niebawem musiał się zatrzymać.

Jedną stroną ulicy sunął nieskończenie długi wąż armat i jaszczyków, drugą maszerowali śpiewając monotonnie, rytmicznie „opołczeńcy". Poznał ich po czarnych, starych kabatach i jednostrzałowych, długich karabinach ze sztykami płaskimi, jak noże.

Mostek spoglądał na twarze apatyczne, martwe, zakrze-

płe, bez wyrazu, na otwarte usta. Nie widział ani jednej wesołej, uśmiechniętej junacko. Z zupełną obojętnością, bez drgnienia muskułów, usta te wyrzucały buńczuczne, zamaszyste, twarde słowa pieśni, której tonacya minorowa stała w jaskrawej z tekstem sprzeczności. Tylko rytm był wyborny, niesłychanie dopasowany do ruchu tej masy, którą hypnotyzował, ogarniał, naprzód pędził.

Nie zdawał sobie sprawy ze szczegółów, czuł tylko, że jestto wszystko doskonale i celowo obmyślane, ale przytym niezmiernie smutne, bo ludzie ci to bezmyślna, bezwolna czereda, pozbawiona wszystkiego, co jest niezaprzeczonem prawem i własnością człowieka, a zwłaszcza pozbawiona wolności.

Pomiędzy czwórkami maszerujących migały armaty i jaszczyki.

Widział wysokie koła, niewiadomo na co przy piaście powrósłami słomianemi pookręcane, podwójne lufy, z których górna służy do strzelania, a w dolnej mieści się przyrząd, chwytający wsteczny ruch armaty po strzale. Dyszle armat, nizko umieszczone, płynęły nad samą niemal ziemią, a grube, manilowe sznury postronków, zastępujące rzemienie, walały się w prochu drogi, ile razy koń ustawał ciągnąć silnie. Mostek dziwił się nieraz, że taki zaprząg nie utknie gdzieś na najbliższej większej bryle ziemi. Bo przecież armata nie jest na to, aby jeździła po bruku miejskim...

Ruch w dwu różnych kierunkach, turkot kół, jęk śpiewu, oraz wahadłowy zamach ramion żołnierzy spływały w jeden jakiś przykry i męczący zgiełk.

— Armaty idą w stronę południową—zaczął politykować na wzór panny Leokadyi — więc dobrze, bo znaczy się, że w Karpatach osłabli i dlatego zażądali posiłków. Ale dlaczego znowu w stronę miasta idą nowe oddziały opołczeńców, którzy znikli byli już od paru tygodni? Widać uczuli się tutaj znów bezpieczniejszymi. Bo opołczenie ćwiczy się na tyłach armii w miejscu zupełnie pewnem i oddalonem od linii bojowej.

Dom przy ulicy Polnej, naśladujący zlekka willę, stał pośród wielkiego podwórza, w głębi którego mieściły się magazyny, stajnie dla koni, wozownie oraz budynki, przeznaczone dla trzody chlewnej. Pośrodku widniały dwa dwukołowe wózki, pomalowane na zielono z dyszlami podpartymi drewnianymi słupkami. Przy nich stał na warcie kozak z karabinem na ramieniu. Widać zawierały jakieś ważne objekty wojskowe, będące własnością kancelaryi, która rozkwaterowała się w części domu pana Pąkalskiego.

— Zdrawstwujtie! — pozdrowił Mostek znajomego sobie kozaka.

— Zdraśći—odpowiedział i chodził dalej koło wózków.

Mostek ujrzał pod magazynami trzy wielkie, nieznane sobie całkiem wozy, więc zapytał:

— A skąd te wozy tam...?

— Ne znaju...— odpowiedział kozak.

Widać wozy znalazły się na podwórzu przed objęciem przezeń warty.

Mostek nie długo się dziwił. Przyszło mu na myśl, że to jakaś może nowa akwizycya szefa.

Wszedł do siebie i rzucił się na łóżko. Obliczał. Teraz jest pół do piątej. Stara może już zwiała... Dobrze.

Wstał, przyczesał włosy, otrzepał ubranie z kurzu, umył twarz i wziąwszy papier z kwiatami, ruszył przez sień.

Nie pukając uchylił drzwi pokoju panny Mani i stanął zadziwiony.

Ujrzał mnóstwo pootwieranych kufrów, porozkładanych sukien, sterty bielizny; pokój był dosłownie przewrócony do góry nogami.

Cofnął się więc i zapukał.

— Nie można! Nie można!— W głosie panny Mani było jakieś stropienie i wielka doza zniecierpliwienia.

Zatrzasnęła drzwi i pytała:

— Kto tam? Czego... ha?

— Ja... swój — odpowiedział Mostek.

— Nie można... w żaden sposób nie można! — Mówiła nerwowo, z pasyą.

Stał przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Panienka widocznie się rozmyśliła, bo za chwilę drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się śliczna, laleczkowata buzia, jakby wprost z bombonierki przed chwilą odklejona. Cudne usteczka wyciągnęły się do pocałunku.

Skorzystał niezwłocznie z pozwolenia, ale gdy usiłował wejść do pokoju, drzwi zostały nagle zatrzaśnięte.

— Nie można. Absolutnie nie można!

— A to czemu? — spytał pokornie.

— Nie można i już!

— Tylko kwiatki dam...

— Dawaj prędko!

Drzwi się znów uchyliły, mała rączka pochwyciła papier i za moment wszystko znikło.

— A kiedyż będzie można? — spytał.

Długo nie było odpowiedzi.

— Mama zaraz wróci... idź do siebie... proszę cię — usłyszał znowu.

— Mama ma dyżur za radczynię Bombową w szpitalu i wróci aż o dziesiątej.

Znowu nie było odpowiedzi przez jakiś czas.

— Proszę cię bardzo, idź do siebie. Nie wchodź tutaj, muszę coś załatwić. Układam rzeczy. Nie chcę abyś widział taki nieład...

— Maniu... tak mnie odprawiasz — powiedział jeszcze pokorniej.

— Ach Boże... jakiś ty, nieznośny... powiadam ci, że nie można.

— Bardzo smutno.

— Trudno...

— Nie grymaś... — prosił znów.

— A to utrapieniec... Chcesz... więc masz ostatecznie...

Drzwi otwarły się szerzej, dwa ramiona objęły jego szyję. Uczuł na piersiach dziewczęce piersi Mani. Zakręciło mu się w głowie. Całował, całował, całował!...

— Idź już...

Zanim się opamiętał, drzwi zostały zatrzaśnięte i usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Odszedł do siebie i znów legł na łóżku, ale nie mógł długo uleżeć.

Wstał tedy, wziął kapelusz i wyszedł. Skusiło go. Okrążył dom i podszedł pod okno pokoju Mani. Niestety, stora była spuszczona, a przez storę ujrzał światło. Zapaliła więc lampę, chociaż jeszcze mrok nie zapadł.

Westchnął, ale ostatecznie cóż w tem było dziwnego. Miała jakieś zajęcie, poprzewracała w pokoju, więc nie chciała aby wchodził.

Westchnął raz jeszcze i poszedł dalej.

Nie było mu zresztą wcale smutno. Czuł na ustach gorące jej wargi, miał pewność rychłego wyjazdu Gławkina. Wszystko tedy w porządku, pomyślał.

Szedł ulicą i rozważał poraz setny półsłówka mamy dobrodziejki, z których wynikało jak na dłoni, że córki nie wyda nigdy za urzędnika, jak mówiła, za „żółty guzik", ale jedynie i wyłącznie za przemysłowca, gdyż przemysł to grunt.

Jaki miała przemysł na myśli, nie było Mostkowi wiadomem, ale tłumaczył sobie wszystko na swoją korzyść.

Myśli pana Jana krążyły koło Mani, ale nie wszystkie były wesołe.

Prawda... jeździła przecież z Gławkinem sankami w zimie i chodziła z nim na spacery... Hm...

Ale zawsze w towarzystwie. Zapewniała najsolenniej. No, mniejsza z tem zresztą. Dziewczyna każda leci na mundur. Rzecz znana. Zresztą prawda i to, że „starik" mawiał: „Trzeba coś zrobić dla interesu". A, gdyby tak nasi wrócili...

Ha... Co na to starik? Hm. Jego rzecz, nie moja. Poza tem niema w całej sprawie nic poważnie złego. Stary mądry umie się urządzać.

Zaszedł do pewnego kolejarza. Pozbawiony zajęcia oddawał się on teraz zajadle politykowaniu i chodziły wieści, że był autorem conajmniej połowy sensacyjnych nowin, krążących po mieście. Wprawdzie, każda z nich nazajutrz okazywała się nonsensem, a terminy podane dla różnych, niezwykłej doniosłości wydarzeń, nigdy się nie sprawdzały, ale to go nie zrażało i pracował dalej niezmordowanie.

Mostek zastał liczne grono gości. Byli to niemal sam pozbawieni zajęcia kolejarze. Gospodarz przemawiał właśnie wysoko w górę wznosząc jakiś papier.

Na stole stała!.. dziwo!... Prześladowanego przez wszystkie władze, a przez wszystkich wykonawców władzy na swój użytek konfiskowanego towaru reprezentantka...

Flaszka z wódką...

Mostek pamiętał czasy, kiedy rabowano dworzec kolejowy, ale żeby rzecz taka do dziś się uchować mogła, nie przypuszczał zgoła.

Nikt nie zauważył jego przybycia, wszyscy z uwagą niezmierną słuchali wykładu.

Nalał sobie przeto wódki, przekąsił chlebem leżącym na drewnianym talerzu i nadstawił uszu.

Konjunktury polityczne mówcy odznaczały się tem, iż nosiły na sobie piętno chwili, a przeto były tak zawikłane, że nikt ich pojąć nie mógł. To jedno tylko zdawało się jasnem, że kartka, którą dzierżył w dłoni, została rzucona z aeroplanu za miastem i przyniesiona przez pewną żebraczkę na plebanię. Zawierała ona niezmiernie ważne wiadomości. Jakie one były, nie można wiedzieć, albowiem pismo użyte do ich nakreślenia było pismem tajemnem, a przeto zgoła niewidocznem. Szczęśliwy nabywca kartki zruzu zamierzał powierzyć cenny dokument aptekarzowi, aby za pomocą środków chemicznych wy-

wołał pismo, ale po namyśle odstąpił od zamiaru. Nie miał dosyć wiary w wiedzę fachową uczonego pigularza i obawiał się, że cenny autograf ulegnie zniszczeniu. W każdym jednak razie, jasnem chyba jest dla każdego, że nikt pustych kartek z aeroplanu nie rzuca. Byłby nonsens oczywisty.

Zgromadzeni przyklasnęli wywodom mówcy, skutkiem czego na stole pojawiła się nowa flaszka wódki, oraz wyśmienita zakąska.

Na tak miłem politykowaniu, spędzany czas mijał szybko.

Mostek nie spostrzegł nawet, że noc już zapadła zupełna. W poczuciu, że nie bardzo dostojnie się zachowywał, ruszył ku domowi, zostawiając gości w jak najlepszych humorach nad kartą Europy, nakreśloną kredą na stole, pociętą krętemi liniami nowych państw mających się urodzić z wojny obecnej.

Na skręcie na ulicę Polną natknął się na automobil, który o mało go nie rozjechał. Obrzydliwe ślepia rzuciły mu w oczy przeraźliwą garść promieni, tak, że oślepiony cofnął się wstecz i uderzył głową o mur. Potwór wrzasnął mu nad uchem jakieś paskudne hasło, które urągało wszelkim dźwiękom świata całego i poleciał jak szalony dalej.

Mostek nie spostrzegł nawet kiedy znalazł się przed domem. Same widać nogi przyniosły go tutaj z przyzwyczajenia.

Brama była — rzecz nie zwykła teraz — szeroko otwarta, a koło wózków wojskowych przechadzał się, jak zawsze kozak z karabinem na ramieniu.

Mostek znalazł się przed drzwiami wchodowemi i ze zdumieniem zobaczył, że oba skrzydła stoją otworem.

Wszedł do środka z pośpiechem i ujrzał pootwierane na przestrzał drzwi wielu pokojów, zupełnie, jak gdyby się ktoś wyprowadzał.

Zaświecił zapałkę, doszukał się świecy i przy jej blasku z przerażeniem spostrzegł nieład panujący wszędzie. Szafy były przemocą pootwierane, szuflada biurka oderwana i... co najstraszniejsze... klęcznik, zakrywający drzwiczki skrytki w mu-

rze, gdzie mieściła się zawsze jak wiedział, znaczna kwota, był odsunięty, a sama skrytka wyłamana.

Ktoś tu strasznie grasował.

Wybiegł na podwórze i przy blasku latarni świecącej koło stanowiska kozaka, ujrzał pootwierane drzwi magazynów i stajen.

Przez długą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu, stał tylko, jak słup soli i patrzył. Nareszcie w jakiś czas przełknął ślinę, krząknął i zaczął na całe gardło wołać:

— Panno Maniu! Panno Maniu!

Głos wychodził z jego własnego gardła, ale go nie poznał sam. I zdziwiony słuchał, jak czegoś zgoła obcego.

Stał na środku podwórza, ściskając w ręku pusty lichtarz, bo świeca wypadła i zgasła i drżał jak osika, a po głowie latały mu myśli, obrazy, przypuszczenia, jak gromada psów rozżartych, warczących i potwornymi wyjących głosami.

Nie miał jeszcze poczucia tego, co się stało, czuł tylko że wpada w jakiś dół napotkany całkiem niespodzianie na prostej i gładkiej ulicy, bo takiem wydawało mu się życie jeszcze przed kilku minutami.

Załamało się pod nim to wszystko, po czem miał chodzić nie widział żadnego sposobu na to, by przeżyć, nie oszalawszy następną godziną.

Stał po ciemku, o kilkanaście kroków przed nim migotała latarnia, zawieszona na murze pustej stajni, oświecająca wózki wojskowe.

Poczwarnie zdeformowana, czarna sylweta chodzącego kozaka łamała się w nieprawdopodobne kształty, kładąc się na powierzchni przeróżnych przedmiotów.

— Gławkin... — wyszeptał nareszcie przez zaciśnięte zęby

Nie miał świadomości, że wymawia to imię, nie przywiązywał jeszcze do niego żadnego specyalnego znaczenia.

Zjawiło się ono na ustach mimowoli, wychynąwszy z ciemnych toni podświadomości, ale raz zjawione stało się osią, koło

której poczęły wirować myśli, dotąd bezładne i miotające się rozpacznie.

— To jego robota... tak to on... — szeptał do siebie.

Znagła porwał go za gardło rozpaczny ból, straszny szarpiący żal. Wszystko zginęło mu z przed oczu, upuścił lichtarz, wyciągnął w ciemń ręce i począł wołać, jak waryat okropnym, ryczącym, nieludzkim głosem:

— Maniu... Maniu... Maniu...

Ona musi przyjść, musi niezwłocznie tu być... inaczej szaleństwo, szaleństwo pewne.

Wydało mu się niepodobieństwem, by nie przyszła zaraz w tak strasznej, tak bardzo strasznej chwili.

Przychodziła przecież dawniej, gdy nie było tak ważnego powodu.

— Maniu... Maniu... Maniu...

— Nie kryczy! — zawołał wreszcie zniecierpliwiony kozak. — Tak niczewo nie zdiełajesz!

Uradował się bardzo. Aha, pomyślał, jest tu więc jakiś człowiek. Zrobiło mu się zaraz dużo lżej. Podszedł szybko do żołnierza, którego dotąd nie widział, mając oczy zasłonięte bielmem bólu.

— Co to znaczy... powiedz, co to ma znaczyć? — pytał kozaka nieprzytomny, nie zdając sobie sprawy z tego, że go może nie rozumieć.

Ale język rozpaczy jest jasny każdemu; kozak stanął i rzekł:

— To znaczit... Ujechali, sowsiem ujechali... Ponimajesz?

— Kto ujechał? — pytał dalej, choć napoły już wiedział, co usłyszy.

— Tak, pierwyj ujechał Pastuszkin s sacharom... poślie... Kobielskij s mukoju...

— Ale nie, nie... oficer, jaki tu był oficer? Tu musiał być oficer!

— Tak... aficier!... Kanieczno aficier. Był praporszczyk Gławkin... nu!

— A kudaż on ujechał?

— Tak... skazał, czto on na oddych... w Pietrograd. On sławnyj aficier, połuczył krest, taj razrieszenje w Rassiju. Skazał, czto wsio tut, łoszadi taj towar, wsio kazionnoje...

— A gdzież barisznia? Znasz przecież barisznię... Gdzie jest barisznia?—zapytał nareszcie, chociaż mógł to uczynić zaraz.

Dygotał jak w febrze, zadając to pytanie, na które odpowiedź czuł w sercu, jak nóż tępy.

Kozak rozdziawił gębę w sarkastycznym uśmiechu, przełożył karabin na drugie ramię i odparł:

— Barisznia?... Barisznia konieczno toże na oddych... Kakże bez bariszni... nu?

ZŁA CHWILA.

...Czyż nie wiesz, że muszę razem z nimi spełnić wielką ofiarę, krwawą ofiarę? Ileż razy mówiliśmy o tem. Pamiętasz, jakim zachwytem biły nasze serca, gdyśmy rozpamiętywali ową tajemniczą drogę, którędy stąpa na małą swą Golgotę człowiek zwyczajny. Nie utrudniaj mi, nie utrudniaj sobie przez żal, który cięży jak łańcuch, tej drogi. Kochana... myśl, ale nie płacz. Pamiętaj, że każda łza twoja jest z ołowiu. Nie dam rady... Pamiętaj...

Przycisnęła konwulsyjnie do ust pomięte kartki, z których łzy pozmywały słowa, i trzęsła się cała od rozpaczliwego szlochu. Drżała jak drzewo, w które tnie siekiera od spodu, i jak jego korona chyliła się jasna głowa coraz niżej. Nakoniec spoczęła na rękach, a snop włosów zwisnął na dół.

Zaraz zobaczyło to słońce, przedzierające się poprzez gałęzie drzewa i poczęło je muskać, pieścić, malować na kolor miedziany.

— Nie da rady, nie da rady — myślała. Widziała, jak z krzyżem na ramieniu stąpa kędyś w górę, a ciężki łańcuch wlecze się za nim. Wszystko co pisał teraz stawało się obrazem, nabierało bytu rzeczywistego, żyła pośród urojenia, jak inni żyją w pokoju, pomiędzy znanymi sobie zdawna sprzętami.

Nareszcie poczta zaczęła niedomagać... potem urwało się wszystko i nakoniec — przyszło zło, które przyjść miało.

Pozostały te kartki pomięte, opłakane, tyle razy całowane.

I strach okropny, kilka razy teraz przez dzień zaglądający w oczy strach.

Budynek szkolny napół rozwalony był pociskami. Mieściła się w jednej izbie, którą dla niej wyreperował Jacek, głupkowaty syn wójta. Tam stało jej łóżko i tapczan kilkoletniego Adasia.

Ileż razy, gdy patrole kozackie przechodziły przez wieś, myślała:

— Teraz przyjdzie najgorsze. I myśl ta zamrażała w niej krew.

Jeszcze wczoraj tak myślała... ale poszli.

I cóżby mogła przeciwstawić dzikości ich, straszliwemu, zwierzęcemu pożądaniu... co? Łzy, rozpacz... i co? Listy jego...

Ach prawda, Jacek.

Siedziała na ławce przed szkołą. Nad nią widniał ciemny prostokąt otwartego okna, we włosach jej igrały promienie słońca. Z ogrodu zarosłego wysokimi chwastami dochodziły nierówne, słabe uderzenia motyki i chwiały się wiechy pokrzyw i czerwonej kukurudzy. To Adaś kopał wśród zielska szańce. Horyzont zamykały wysoko sterczące kominy chat nieistniejących, podobne do jakichś fabryk, gdzie dziwotwory zawzięcie po nocach produkują smutek i osępienie.

Siedziała teraz cicha, aż nadto cicha. Wydawała się skamieniałą.

Nad jej głową poczęły się unosić roje komarów, rozpoczynające taniec wieczorny. Nie widziała przed sobą nic, o co by zaczepić myśli, smutek nawet. Zapadło się wszystko, gdzieś daleko, skonało, a ostatnim przejawem życia był dla niej ten list. Była pewna, że wlokąc się u ciężkiego łańcucha za nim, wstępującym na straszną górę, kędy tylu idzie nieświadomie, łatwo, ze śpiewką, pobrzękując ostrogami — za nim, który uginał się pod przeraźnie ciężkim krzyżem samowiedzy — przyczyniła mu taką moc bolesnego trudu, iż upaść musiał. Tak, czy inaczej... upadł, to nie ulega wątpliwości.

I oto jest teraz gdzieś, daleko tak inny, tak do siebie, do dawnego siebie niepodobny, jak trup do żywego człowieka. Ujrzała wyraźnie zmieniony wyraz jego, nie twarzy, ale wprost duszy. Zobaczyła to, co widzą jeno ci, którzy kochają. Ale w chwili takiej jawy strasznej, z otchłani miłości, która łączy wszystkie sprzeczności, albowiem z niej wyrósł świat cały, jak kłos z czarnej gleby—wynurzyła się nadzieja, że raczej musiał poledz... że nie żyje. Straszna pociecha. Któż może wiedzieć co pociesza. Dzwon pogrzebowy miewa czasem brzmienie marszu tryumfalnego... Nie, nie... Gdzież na miły Bóg wiedzie myśl wśród takiego opuszczenia. W takim strachu codziennym zachodzi się w ostępy, nieprzecięte żadną ścieżyną i błądzi się boleśnie, a bez celu.

— I bez cóż to paniusia tak dumają? He, he, he...

Zerwała się, jakby biczem smagnięta.

Uczuła na ramionach ręce. Z okna zwieszała się wielka głowa Jacka. Oczy jego świeciły jak węgle, usta otwarły się w idyotycznym uśmiechu.

Zawirowało jej w głowie, uczuła straszny ból. Na ustach miała wyrazy piorunujące, a w myśli świadomość, że... to wszystko na nic, że to walka z bydlęciem, nie opór człowiekowi stawiany.

Jacek stropił się jej odruchem, przeto wyprostował się w oknie i powiedział:

— Z miasta nic nie przyniosłem... nie było. Tylko z domu od siebie. Stoi na stole. I odszedł.

Na głos zasłyszany wylazł z pośród badyli Adaś. Spocony był, czerwony. Wlókł za sobą długą, ciężką motykę! Stanął, opuścił narzędzie na ziemię i rzekł z przekonaniem:

— Nie warto tu kopać w ogrodzie. Tu nie przyjdą.

— Kto?... — spytała pomieszana, nie mogąc dotąd otrząsnąć z ramion okropnego dotknięcia.

Chłopiec popatrzył na matkę ze zdziwieniem.

— Któżby... oni przecież.

— Możebyś...

Strasznem było dla niej teraz wymówić to słowo. Przecież w ogołoconej, pustej zupełnie wsi, była zdana na łaskę wójta, który skryty w piwnicy, siadywał czasem po kilka dni, ale nie uszedł i pilnował swego.

Ale sam on gonił ostatkami.

W mieścinie poblizkiej panował głód. Żywność przemycał tedy z domu ojca Jacek — cichaczem — to znaczy poprostu —kradł dla niej... wiedziała, czuła to...

— Dawaj matka kawałek chleba! — powiedział Adaś stanowczym głosem.—Nie mam czasu, idę kopać szańce nad wodą, koło Sierzeja... tam będziemy się bronić.

Nie było rady. Weszła do izby. Na białym stole stał koszyk wyładowany porządnie. Z drzeniem nerwowem sięgnęła doń i nie bardzo wiedząc co ma w ręku, podała chłopcu.

— Ależ ja chcę chleba! — powiedział Adaś.

— Tak... tak... zaraz dostaniesz dziecinko.

Oprzytomniawszy, ukroiła kawałek chleba, położyła na wierzchu płatek słoniny i dała chłopcu, który, nie czekając wyszedł.

— Wróć wcześnie... Adaś, słyszysz... Adaś!

Nie było odpowiedzi. Ale nie bała się o dziecko. Adaś znał już nieproszonych gości i nie wiele sobie z nich robił. Sypał przeciw nim szańce, a mimo to często przynosił dary, którymi go, jak mówił, chcieli „przekupić".

Stała bezwładnie przy stole długą chwilę. Nagle zabłysło jej w myśli:

— Tak... czy inaczej... upadł... to nie ulega kwestyi.

I odrazu spostrzegła całą treść tego powiedzenia. Nie znała jej dotąd. Poszedł jak bohater, a ona za nim powlokła się jak męczennica. I szli oboje.. ale obojgu stawało się, stawać musiało coraz to ciężej.

— Prawda... Czemuż ja tak rzuciłam się po dotknięciu ręki Jacka?

Wiedziała już teraz, jakie myśli mieściły się pod progiem poznania i rażona tem odkryciem, oblała się ciemnym rumieńcem.

Myśli te zaś, raz odważywszy się ukazać na powierzchni, zapanowały nad wszystkiem. Mimowoli rozwarła ramiona i stała tak oblana czerwonym zachodem, cudna w aureoli jasnych włosów z falującą piersią.

— Adam... Adam!

Byłaby dała całą resztę życia, za jedną małą chwilę szczęścia w jego objęciu.

A więc to siedzi w człowieku najmocniej, przemknęło jej przez myśl. To jest owa kotwica, leżąca na dnie morza, u której rwie się okręt-człowiek. Inaczejby żeglował w cudne dale, skąd dolatuje wołanie tęsknot zaziemskich.

Nie wiedziała czy żałować, że tak jest, czy podziwiać tragizm ten ogromny, tragizm całych wieków; tych co minęły i tych co nastąpić mają— czy może cieszyć, że nareszcie sprawa ta niezmierna jasno przedstawiła jej się dzisiaj. Wszakże on... człowiek-niewolnik kazał jej cieszyć się każdą, na dnie własnego morza znalezioną perłą poznania. „To nasza biblioteka“--mawiał... Prawda! Niedostatek nie pozwalał na książki a pobyt na bezludziu nie dopuszczał zaczerpnięcia z cudzego dorobku duchowego.

— Adam! Adam! — wołało w niej.

Dusza przyzywała przyjaciela, powiernika, ciało—kochanka.

Przez otwarte okno poczęły włazić do izby szare cienie. Pełzały jak plądrujące kozactwo po wszystkich kątach, wszystkiego dotykając, zajmując każdy zakamarek.

— Adam!... Adam!

Jednocześnie zrazu niedosłyszalny, potem coraz bliższy tupot konnicy począł płynąć z dworu.

Ale nie była na ziemi. Błądziła pomiędzy skarbami, tam na dnie. Z plastycznością, jaką daje rzeczywistość, wiedziała

to, co dotąd gromadzili oboje, chowając aż tak głęboko przed otoczeniem... strasznem, okropnem otoczeniem, które jednak kazano kochać... dla którego oboje przecież pracowali w tej szkole wiejskiej od lat całych.

Tupot, charakterystyczny tupot kutych tylko na przednie nogi koni kozackich przepłynął falą, przesunął się blizko, potem odgłosy słabły... cichły... wreszcie wszystko się gdzieś skłębiło, powikłało, zarżał koń, wyleciał jakiś okrzyk i cisza nastała.

Nie wiedziała co się dzieje. W ciemnej izbie stała zapatrzona przed siebie i przeżywała całe lata owego cichego życia o jednostajności strasznej, przygnębiającej, przybijającej tak do ziemi, jak gdyby czas stąpał realnie, ciężkimi butami po kiełkach tęsknot, bujających co ranka i wtłaczał je w grunt. Życiem tem bez szkody, strasznej, niepowetowanej żyćby nie można, gdyby nie walka ciągła, czuwanie bezsenne nad sobą gdyby nie wykradanie czasowi-niszczycielowi małych chwil gdyby nie wyszukiwanie zakamarków, czy zagłębień gruntu, których straszliwe „sapohy" jego dotknąć nie mogą i... to chowanie na dno, głęboko na dno, krycie u kotwicy życia, gdzieś na dnie serca, które silne jest, przytępić się nie da, praw swych, praw suwerena nie przepomni, ale... dobre jest i pobłażliwe.

Posłyszała śpieszne kroki.

Głośny tupot nie miał tyle grozy i mocy budzenia, co kroki te... szedł, biegł raczej Jacek. Wiedziała, że to on, zanim przybył.

Chwyciła za klamkę i trzymała.

— Pani... paniii!

— Co tam...—ciągle trzymała klamkę.

— Niechże pani puści... Co pani jest... Pani!

— Mów Jacku... mów... tu nie można teraz.

— Jakto, nie można... Lecę... bo przyszli Czerkiesy...

— To nic... Jacku, Pan Bóg obroni.

— Słusznie... ale zawsze... przyszli Czerkiesy. Ja tu będę spał. Mam siekierę,

— Nie... nie... Zostaw mi siekierę i idź do domu. Proczę cię!

— Nie.

— Jacku... proszę cię bardzo — mówiła z płaczem niemal.

— Pójdę po Adasia i wracam. Adaś dostał od nich jakiegoś turskiego miodu. Powiem, że pani kazali wracać.

— Dobrze, idź... niech zaraz wraca, ale ty jeśli chcesz spać blizko, to pościel sobie w szopie u Macieja... Słyszysz?

Jacek nie odpowiedział, odszedł szybko. Nie wiedziała nawet, czy doczekał, aż skończyła mówić.

Drżała na całem ciele. Czuła się dzisiaj bardziej zaniepokojoną. Rozpamiętywanie odjęło jej tę moc ducha i żołnierskość, z jaką stawiała dotąd czoło niebezpieczeństwu.

Po chwili jednak przyszła do siebie o tyle, że powziąć mogła postanowienie. Tak... tak... najlepiej będzie, do wójta — myślała, zapalając świecę.

Szybkimi ruchami kładła do koszyka z jedzeniem co jeszcze mógł pomieścić rzeczy najniezbędniejszych. Aby uzyskać miejsce, wyjęła i położyła na stole apetyczny kawał masła zawinięty w liść kapuściany, wianek cebul i inne drobiazgi.

Rzuciła okiem na obrazek wiszący nad łóżkiem i nie przestając się krzątać, modliła się żarliwie, krótko, bez szeptu nawet, myślą samą.

A jednocześnie trapiło ją, czy Adaś posłucha, czy porzuci słodycze, któremi go znowu „przekupili“ oni.

Świeca miotała błyski nieprzyjemne. Płomień, targany przeciągiem, jaki wywołały jej ruchy i powiewem od okna, słaniał się jakby ranny, a wraz z nim słaniały się przedmioty, ściany, ona sama odbita w kolosalnych rozmiarach na białych płaszczyznach izby.

Wreszcie posłyszała jakieś kroki.

— Doskonale, już idą. Teraz jeszcze szal i serdak dla chłopca.

Kroki zbliżały się coraz bardziej. Nie ustawała w pracy. Naraz uczuła, że coś patrzy na nią przez okno.

Spojrzała i krzyk zamarł jej na ustach.

Z czarnego tła wychyliła się ku niej twarz Czerkiesa, o nosie jakby dziób orła, obwisłych cieńkich wąsach i oczach rzucających błyski fosforyczne. Ogromna papacha zesunęła się na tył głowy. Wyszczerzył w uśmiechu wilcze zby i powiedział:

— Zdrawstwujtie barisznia... Nuuu... nie bojtieś!

A ona umarła już na poły, patrzyła bez ruchu, jak przełaził przez okno i tylko zbladłemi wargami szeptała bezwiednie:

— Jacek! Jacek!...

TADZIK.

— Janie! Janie! — potrząsała śpiącym na słomie mężczyzną i nie mogła się go dobudzić.

Izba zarzucona była mierzwą. Na tej pościeli spoczywali oboje i Tadzik. Pod ścianą stały dwa kuferki i leżał toboł z odzieżą, przygotowany do drogi.

Kobieta przygarnęła rękami zwichrzone włosy i podbiegła do okna. Nie potrzebowała go otwierać, wybite było wraz z ramą, która chwiała się na zewnątrz we wietrze zwisła na resztce zawiasu.

Wychyliła się i z przerażeniem spostrzegła, że na dworze niema żywego ducha.

— Jezus! Marya!

Rzuciła się do męża z wrzaskiem:

— Janie! Janie, wstawaj na miłość boską!

Porwał się wreszcie i począł przecierać powieki.

— Idź prędko... Idź na miłość boską, prędko! Zapytaj! To jest rzecz straszna!

— Co jest straszne? Ha? — spytał napół przytomny.

— Odjechali... zostawili nas... Okropność!

— Nie pleć Maryś... nie pleć! Przecież dałem zadatek... jakżeby. Zresztą niema jeszcze Moskali. Pocóż mieliby uciekać?

— Proszę cię, na miłość boską, wstań i idź. Umieram ze strachu! No, idźże już!

Wstał, zapiął wyszarzany paltot, nasadził kapelusz i wy-

szedł. Niedowierzał, by miało być aż tak, jak mówiła żona, ale zaufanie w Jankla opuściło go jakoś. Wóz żydka miał stanąć koło opuszczonego, zniszczonego budynku równo ze świtem. Tymczasem dzień był już jasny, a tu ani słychu. Pusto wokoło... hm... nie dobrze jest — pomyślał.

Szedł pomiędzy opustoszałemi domami wsi. Okna były przeważnie powybijane i przez ich czarne, pozbawione źrenic oczy widział pustkę wewnętrzną, desperackie, strachem nakazane opuszczenie. Meble, których uwieść nie zdołano, powyciągane na środek, zdawały się błagać, by je zabrano.

Chmury szare zwisały nizko nad ziemią. Mgła zimna, gęsta, jesienna spadała drobnym, przenikliwym deszczem. Niewypowiedziany smutek roztoczył swój zgrzebny płaszcz wokoło, nakrył nim wszelką wesołość, przydusił uśmiech. Pod wyplamionym tym łachmanem, co wycierał teraz wszystkie świata zakątki, dyszała, jakby ostatnim tchem się dławiąc, nadzieja.

Zacisnął pięści, bo poczuł straszliwego wroga, dreszcz rozpaczy.

Uczuł wyraźnie, że jeszcze nie stało się nic, a jednak już może na wszystko zapóźno, że tylko najwyższym wysiłkiem osiągnąć zdoła ten poziom codziennego zła, które się jeszcze życiem nazywa.

Począł biegnąć, a rozłażąca się pod stopami ziemia utrudniała mu bieg.

I ten jeszcze maleńki, niewyczuwalny kiedyindziej fakt, dołożony do innych, uczynił, że zaczął wołać, desperacko wołać, chociaż do karczmy Jankla było jeszcze dosyć daleko.

Nie spodziewał się odzewu. Wołanie uprzytomniało bardziej jeszcze opuszczenie, ale przerywało ciszę, tę ciszę-śmierć, która mogła lada chwila przydusić jego istnienie i ledz już sama jedna tylko na poczerniałych ze zgrozy zwłokach świata.

W skokach, które samemu wydawały się jakieś ogromne, dopadł domostwa, gdzie niedawno rezydował Jankiel, i chwycił się nagle czegoś, sam nie wiedział czego, byle nie upaść.

Przed karczmą leżały dwie puste paki z odrobiną słomy, pognieciona blaszka na naftę, strzępy sznurów... zresztą pusto tu było i głucho. Drzwi szeroko rozwarte pozwalały oczom pójść na zwiady i przekonać się, że wszystko, co się uwieść dało, zostało już usunięte. Skądś, z czarnej głębi dochodziło miauczenie kota, który z desperacyą konstatował smutny fakt dokonany i nie mógł dojść do żadnego wniosku, co mu teraz uczynić wypada.

Zapatrzył się bezmyślnie, tępo w pusty dom. Rozpacz i osłupienie odjęły mu zdolność myślenia.

— Odjechali!

Nie wiedział co będzie teraz. Snuło mu się tylko bezładnie jakieś przypuszczenie niesformułowane, że musi być bardzo źle, skoro odjechali, ale jak to złe przeżyć, jak się ostać z życiem... nie wiedział.

Kot, obszedłszy wszystkie kąty domu, wynurzył się wreszcie z wnętrza, w kilku skokach, nie bacząc na wilgotną rosę padającą z góry, przypadł mu do nóg i począł się ocierać z radosnem mruczeniem, ale po chwili, ubezpieczony tą obecnością człowieka, odszedł, siadł w progu, gdzie nie dochodziły krople dżdżu i, patrząc na Jana pytająco, kręcił ogonem.

Nagle zadudniało coś. Nie byłto tyle huk, co jakieś wstrząśnienie nieprzyjemne. Ziemia drgnęła tak, że aż się pod nim ugięły kolana.

Kot wstał, obejrzał się po niebie i ziemi i usiadł znowu.

Zadudniało ponownie, potem rozległ się świst przeraźliwy, wycie jakieś połączone z brzęczeniem i trzasło gdzieś niedaleko straszliwie.

Jan podniósł oczy w górę, bezmyślnie przypatrując się płynącym leniwo, ciężkim chmurom. Dopiero gdy trzasło strasznie tuż opodal, przyszedł do siebie i począł iść szybko ku domowi, gdzie została żona i syn.

— Odjechali — bo jest źle — myślał. Zupełna racya. Ale jak się stąd wydostać?

Uczuł się jak dzikie zwierzę otoczone naganką zewsząd. Niczem więzienie — pomyślał — i z rozkoszą wspomniał ...ongiś, kiedyś... dawno... dla idei... Ściany o które tłukł głowę ...te ściany, bezpieczne... opiekuńcze niemal.

A oni... żona i dziecko?

Ukąsił go w serce strach, jak żmija... znagła, niespodzianie.

Wokoło leżała martwa, bezmyślna, obojętna mgła. Mogła kryć wesele... śmierć, — cóż jej to!

Błyskawiczne zbliżenie, analogia przesunęła mu się przez mózg:

— Oto jest życie oglądane z zewnątrz, z góry... z nieba. My tylko... my, patrząc z dołu, stwarzamy kompleks pytań, pretensyi, wiar, nadziei... A może tego wszystkiego wogóle — niema? Uczuł bezmiar nicości, zgnął go strach w serce i pchnięty musem ruchu, koniecznością obrony, walki, przeciwdziałania... rzucił się ku domostwu, gdzie oni — zostali.

Okropne wycia napełniły powietrze, które wnet tak się rozedrgało, jak ściana resonansowa skrzypiec, gdy skrzypek gra szaloną galopadę.

Artylerya jakaś wstrzeliwała się widocznie w nieprzyjaciela, który gdzieś był w pobliżu.

Biegł, szybko mijając domy. Nagle z poza węgła jednego z nich wyłonił się jakiś wielki cień i zagrodził mu drogę. Coś wrzasło przeraźliwie:

— Pastoj!

Spojrzał w górę.

Kozak ze spisą wychyloną wstecz, opartą o strzemię w pośrodku na rzemieniu do ramienia przymocowaną, z rewolwerem w ręku, stał przed nim.

Błyskawicznie dojrzał jeszcze ogromną czapę jakby uczynioną z całego barana, kłaczastą brodę, łeb koński ze zwisającą na obie strony po szyi przemokłą grzywą, czarną gunię, obejmującą człeka i konia razem... potem zwinął się instynktownie

w bok, skoczył między przeciwległe domy, przeleciał wązkiem przejściem i począł pędzić co sił w nogach, ogrodami.

Usłyszał strzał za sobą... jeden... drugi...

Nie zważając już na nic, biegł kierując się ku domowi, gdzie zostawił swoich.

Ale przestrach zasłaniał mu oczy, nie trafił do znanego przecież tak dobrze przełazu i prąc się wierzchem parkanu rozdarł paltot. Spadł po drugiej stronie, tłukąc się dotkliwie w głowę. Uwalany gliną podniósł się i kroczył pośpiesznie jakimś sadem, z trudnością wymijając drzewa.

A nad nim wyło stado wilków, jakich niemasz na ziemi. Ciężkie, opite wodą powietrze, wytrząsało teraz pod tem szarpaniem garści deszczu na jego głowę i rzedniało widocznie z każdą chwilą. Uczyniło się przeźroczystszem, ale grało zato okropnym falsetem jęków, gwizdania, chichotu, a przeraźny bas wstrząśnień huczał coraz szybszem tempem.

Nagle, gdy przełaził drugi parkan, spostrzegł, że zmylił drogę.

Stał przed jakiemś domostwem, nieznanem zgoła.

Skręcił w lewo, chcąc je ominąć. Szedł wzdłuż ściany, zdało mu się, nieskończenie długo. Przytem jakiś nieprzyjemny swąd, swąd coraz to mocniejszy zaczął go dochodzić. Jeszcze kilka kroków a ujrzał kłąb dymu przed sobą. Kłąb legł szerokim wałem, tak, że nie mógł iść naprzód. Zatrzeszczało mu nad głową. Spojrzał i zobaczył języczki ognia, wydostające się z pod strzechy. Gdzie wyszły na wierzch, zagarniały zaraz ze sobą szmaty poszycia, które zwijało się w górę i gorzało jak wić straszliwa, głosząca zbiórkę wszystkiego co jeszcze żyje na wielki zbór, gdzie zapadnie wyrok ostateczny i nieodwołalny.

Stanął wyczerpany i podał się temu hukowi okropnemu i grozie spalenia żywcem. Uczuł zupełną niemoc, wiedział jasno, że traci zmysły, a to jedyne jeszcze, to przed śmiercią upragnione... zobaczenia żywych żony i dziecka... nigdy się chyba nie ziści... Jak automat ruszył wstecz i ledwo postąpił kilka

kroków, stanął u jakichś rozwartych na ścieżaj drzwi. Niezmiernie zdziwiony, iż trafił na dom w miejscu, w którem, jak mniemał, musi być jakaś droga, zajrzał do środka i krzyknął rozpacznie.

Ujrzał izbę obszerną, tę samą, gdzie dzisiejszą noc spędził, wybite z ramą okno i dwa kuferki pod ścianą... swoje własne rzeczy.

W izbie nie było nikogo.

Zatoczył się i oparł o odrzwia.

— Teraz koniec wszystkiemu! — pomyślał.

Uczuł niezmierną chęć położyć się tutaj na zgniecionej mierzwie i czekać aż przyjdzie pożar z domostwa naprzeciwko i dokończy dzieła.

Stał tak chwilę. Poprzez huk armat, wypełniając przerwy strzałów, chrobotało teraz coś gorączkowo, a bez przestanku. Jednocześnie dym jął napływać z przeciwka coraz to gęstszy. Także iskry skakały po powietrzu i uczyniło się przyjemnie ciepło.

Coś wrzasło w pobliżu, jakiś śmiech się rozległ niesamowity, potem płacz i jęki. Gdy przycichały strzały, słyszał też chlupot kroków końskich czy ludzkich po błocie.

Oprzytomniał i ruszył szybko przed siebie.

Przebrnąwszy kłąb dymu zalegający drogę, wydostał się na wolną przestrzeń. Mgła ustąpiła, było teraz całkiem widno. Zaraz uprzytomnił sobie wszystko i począł raźno, przytem jednak ostrożnie iść naprzód.

Ale wnet musiał skryć się w najbliższym domu, bowiem patrol kozacki zabiegł mu od tyłu. Przepuścił Dońców i wychynął znów na drogę.

Spojrzawszy za siebie, zobaczył, że dom, gdzie nocował dziś i gdzie leżały kuferki, zaczyna się palić jak świeca; więc żal mu się zrobiło poniechanych rzeczy.

Teraz dopiero, jakby żal tych rupieci otrzeźwił go ostatecznie, pojął co stracił. I zawył mu w piersiach okrutny żal,

a ból szalony, wprost fizyczny ból zapiekł gdzieś głęboko, na samem dnie duszy.

Już nie słyszał nic. Biegł nie zważając na niebezpieczeństwo. Nie czuł przelotu kul sypiących się jak groch, nie widział kogo mija. Przesuwały się koło niego jakieś cienie... nie zatrzymywano go jednak.

Bitwa zajęła wszystkich, nie było czasu interesować się jakimś człowiekiem, co biegnie gdzieś obłocony w podartem okryciu.

A on biegł coraz prędzej, jak pies, który zgubił ślad, na oślep.

Natknął się na ciało leżące wpoprzek drogi.

Mimowoli pochylił się nad trupem.

— Nie ona... — pomyślał i pobiegł dalej.

Coraz częściej natrafiał na zwłoki w mundurach koloru ziemi.

Naraz powietrzem wstrząsnął okrzyk: Hurra!

Przystanął, ale po chwili ruszył dalej.

Nagle krzyk jakiś, krzyk przeraźliwy, kobiecy, rozdarł powietrze.

Poznał głos, raczej domyślił się, że to jej głos.

Skręcił momentalnie w stronę, skąd krzyk dochodził i stanął skamieniały.

Kozacki koń rwał się niecierpliwie i próbował stanąć dęba. Kirgiz, nizko pochylony na siodle, szarpał się z kobietą, którą trzymał na powrozie, chcąc ją wsadzić przed siebie. Mały chłopiec wżarł się zębami w jedno ramię kozaka i gryzł go, jak słabe, broniące matki lwiątko.

Jan rzucił się z całej mocy naprzód. Biegł ostatnim wysiłkiem, wyrywając z trudem nogi z rozmokłej oraniny.

Dzieliła go jeszcze znaczna przestrzeń od swoich, gdy ujrzał coś, co go przykuło do miejsca. Oto Tadzik puścił ramię kozaka, wspiął się na palce i wysunął mu z zapasa kindżał.

Chłopiec błyskawicznym ruchem cofnął rękę w tył i pchnął kozunia w brzuch... raz... drugi... trzeci...

Kirgiz, jakby gestem rozpacznym rozwarł ramiona i zwalił się bez jęku na twarz, pod nogi konia, który spiął się, wydał rżenie podobne do jęku i, przeskakując trupa, rzucił się do ucieczki.

Upadek był tak niespodziewany, że kobieta została przewrócona na wznak.

Tadzik stał z rozwartymi szeroko oczami, blady, nieprzytomny.

Jan biegł ku ocalonej, szeroko rozpostarłszy ramiona, a w duszy miał jasność jakąś i grozę, połączone w dziwne stadło.

Huk armat przycichł znacznie. Powietrze drgało teraz od okrzyków:

Hurra! Hurra!

Siwe mundury ukazały się w ulicach wioski.

OPŁACIŁO SIĘ.

— Za późno! — krzyknąłem w głos, nie wiedząc, komu się żaląc.

Biegłem przez pole poryte kulami armatniemi, poprzecinane wężykami transzei. Okraczałem z trudem niezmiernym jakieś dziwne zwaliska cegieł, coś, co przed niedawnym czasem, mogło być taborem piekarń polowych, wpadałem znienacka w wysokie kępy pokrzyw i stawałem z rozpaczą w duszy, okryty zimnym potem wyczerpania i strachu. Wielka blaszanka mleka, jaką udało mi się napełnić w oddalonej chacie, jedyne pożywienie dla moich ...tam w mieście, na długie może dni, ciężyła mi bardzo. Drut jej wcisnął się w ramię i palił za każdym krokiem boleśniej.

Dzień był jasny, upalny, letni. Od całych tygodni ni kropli deszczu, bo chmury uciekły stąd przerażone strzałami, jak stado gołębi, kędyś w szczęśliwsze strony. Wszelka wyraźna zieleń znikła. Szare, zmiętoszone, skopane kępy trawy, jak włosy na głowie zmasakrowanego człowieka, sterczały tu i owdzie na skrajach ran-rozpadlin. Zdało się, że trzymają się usilnie, rozpacznie swego podłoża, niepewne czy chwila następna nie zabierze ich stąd kędyś daleko na śmierć nieuniknioną. Wielkie, rozsypane, ciemne jaskinie. gdzie padły granaty, zdały się porozpoczynanymi przez jakiegoś oszalałego architekta fundamentami niezmiernego gmachu, świątyni Jutra. Okolicę tę wydzierano sobie wzajem od całych tygodni, a front

bojowy przeginał się bezustanku konwulsyjnie w rozmaite strony, jak żmija nieprawdopodobnych rozmiarów, gryząca wszystko wokół, nawet ziemię. Jakby powypluwane przez nią resztki żeru, leżały tu i ówdzie zniekształcone trupy domostw, stały jakieś tragiczne kopce, strzegące pańskich włości, dęły się niby wrzody na skórze chorej ziemi wypukliny, kretowiska, pazurami potwornego, drążącego głąb zwierza na wierzch powyrzucane. Zdawało się, że sama ziemia w ataku szaleńczym drze paznogciami własne piersi, a górą niby widzialny opar wielkiej gorączki, unosiły się strzępy silnego, cuchnącego kwasem azotowym dymu, poprzez którą to firankę rudziała dal żałobna.

Nad urwiskiem, brzeżącem niewidzialną, głęboko w grunt zaszytą rzekę, sterczały w odległości kilkuset kroków odarte z grubszych konarów i gałęzi listnych drzewa, a z poza nich wysunął się właśnie ciężko obładowany wóz.

Tył jego zajmowały wielkie skrzynie, przewiązane sznurem, na przodzie tuliło się kilka czarnych postaci. Żydzi wieźli towary do miasta.

— Za późno! — jęknęło mi w piersiach. I tak było rzeczywiście. Nie zdążyłem wrócić dzisiaj pomiędzy jedną a drugą bitwą. Tam, kędy ginęła szara linia gościńca, właśnie w miejscu, ku któremu zdążałem, zaczęły wykwitać białe, krągłe, dobrze znane obłoczki, a huk armatni rozdudnił się w powietrzu.

Ośm strzałów... potem cisza. Dalej jakby rechot żab w wielkiem stawisku. I znowu ośm wstrząśnień, od których szarpie cię we wszystkich nerwach. A potem... już nieustający rechot. Rozpoczynała się zwyczajna dysputa haubic z „pulemiotami". W tyle miałem haubice, przed sobą karabiny maszynowe, nad sobą sieć straszliwą, w której oczkach zginąć by musiał najmniejszy ptak. A iść musiałem ku „pulemiotom", gdyż tam, pod łukiem ich strzałów leżało miasto.

Błysnęło mi w myśli, że muszę koniecznie dostać się do wozu i złożyć na nim blaszankę... zresztą bodaj czepić się go rękami... czuć bodaj, że nie jestem sam na tej piekielnej równi. Puściłem się tedy biegiem, ale w tej chwili huknęło mi nad głową.

— „Za krótki" — pomyślałem. Haubice widocznie dopiero „macały" pozycyę „pulemiotów".

Biegłem z najwyższym wysiłkiem do jakiego byłem zdolny.

Nagle rozległo się dudnienie kopyt końskich po okrąglakach, którymi z reguły naprawiano na prędce zbyt wielkie wyboje drogi lub zarzucano przecinające ją transzeje.

Woźnica wstał i zaczął z całej siły smagać grzbiety koni, które ruszyły gwałtownym ale bezcelowym, krótkotrwałym galopem szkap fiakierskich.

Za chwilę wehikuł obskoczyli Kubańcy.

Poznałem ich doskonale po powiewających z tyłu końcach baszłyków, rozwianych połach czerkiesek i wysokich czapach.

— Dawaj skariej łoszadi! — wrzasnął któryś do furmana i najechał na zaprzęg tak, że dyszel znalazł się nad samym rowem.

— Izwienitie gaspadin. U mienia jest propusk... gradonaczalskij propusk! — tłumaczył jakiś głos.

— Tak niczewo... dawaj skariej... Ty jewrej...

— Ja nie jewrej... jej Bogu nie jewrej! O... pasmatritie gaspadin aficier...

Uczynił na piersiach kilkakrotnie znak krzyża.

— A... mierzawiec! Małczi... pajdiosz na wisielicu! Ty jewrej! Kanieczno jewrej... Dawaj diengi, jeśli ty nie jewrej... Nu, skariej!

Rozpoczął się targ, podczas którego jeden z Kubańców dłubał kindżałem w tylnej pace w celu zbadania co tam jest.

— Wodka! — krzyknął nagle. — Wojennaja kontrabanda. Jej Bohu!

Tymczasem rozpoczęto się na przodzie wozu szamotać, gdyż pierwszy kozak wyrwał jednemu z żydów cały pugilares.

Wśród tego, stojący z boku żołnierz, dla rozruszania się, porwał siedzącego dotąd spokojnie podróżnego za kark, wyciągnął go z wozu i rzucił na ziemię.

Padł jak łachman, ale porwał się zaraz i zaczął uciekać.

— Szpion!... Kontrabandist!—krzyknął oficer. Dawaj jewo!

Dwu Kubańców ruszyło za zbiegiem i poczęli pukać z karabinów.

Polowanie trwało krótko, uciekający padł po kilku krokach.

Tymczasem na siedzących we wozie spadł grad nahajek. Rozległy się jęki, jakieś ukryte pomiędzy podróżnymi dziecko darło się przeraźliwie.

Kule świstały jak grad padający z wysokiej chmury. Powietrze rozdzierały skowyty przebiegających szrapneli. Huk i wrzaski spłynęły w jedną straszną nutę. Powietrze tętniło miarowo, okropnie, każdy nerw drżał w takt tego dudnienia.

Położyłem się na ziemi i patrzyłem w niebo. Przestałem myśleć.

Kozacy widocznie zabrali wszystkich razem z wozem dla dokończenia egzekucyi w mieście, bo głosy poczęły się oddalać, aż przepadły gdzieś. Zostałem sam, sam jeden pod kopułą ruchomą, przeraźną, uczynioną z przelatujących pocisków.

Nie myślałem, a czułem, że wargi moje szepcą:

Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże...
Stąd drugi tysiąc, ciebie nie dosięże.
Miecz nieuchronny...

Ale pewny, że jest to już nieuchronne, czekałem tylko, kiedy się stanie, co się ma stać. Huk przycichł, raczej przygłuchł nieco. Nad sobą widziałem niebo, dokoła brudnożółte ściany ziemne. Widocznie wpadłem w dół wybity gra-

natem. Blaszanka leżała koło mnie. Nie otwarła się nawet pokrywa. Mleko pewnie było wewnątrz. Ale za skarby świata nie byłbym wstał, ani wyciągnął ręki, aby się o tem przekonać.

Czułem się dobrze, tylko w lewej nodze coś mnie piekło.

Nic strasznego. Poprostu coś mnie piekło w okolicy kostki i było jakoś gorąco.

— Aha! — pomyślałem. — No to dobrze.

Wiedziałem przecież, że ostatecznie jakaś kula z pomiędzy setek tysięcy musi mnie trafić.

Zresztą uczyniła to w sposób bardzo oględny, tak oględny, że aż dziwne.

Teraz szło tylko o to, by się dostać do domu... ale o tem potem. Tak mi dobrze przecież, tak spokojnie. I najważniejsze, że nic nie widać. Kawałek nieba i nic.

Ogarnął mnie wielki optymizm. Nawet myśl, że niepokoją się o mnie w domu, nie spłoszyła nastroju. Przyszło mi na myśl, że zapewne sądzą, iż z powodu bitwy nie rozpocząłem drogi powrotnej do miasta. I na tem koniec. Ileż to razy chodziłem po wiktuały... Hm. Ale teraz śpijmy. Spać mi się chce bardzo... — Znaczny upływ — majaczyło mi w głowie. Dlatego senność. Ale ponieważ żyję, uczynić się musiał skrzep. Tak... tak... to nic... to nic. A zatem ...tak to prawda... to nie był jewrej... Poznałem go gdy biegł. To niezawodnie Eliaszewicz. Tak, to on. Biedaczka... Dwoje dzieci...

Potem się wszystko zmąciło. Widziałem jeszcze twarzyczki dzieci zabitego, jego pierścionek z herbem tyle razy oglądany, wreszcie straciłem świadomość.

Zbudziło mnie uderzenie. Coś się na mnie stoczyło z góry, potem legło tuż obok z jękiem.

Usiadłem, ale zaraz musiałem ledz skutkiem wielkiego bólu w nodze.

To coś, czego nie mogłem rozpoznać skutkiem mroku, jęczało. Słów niepodobna było rozpoznać. Ale ranny mówił coś. Nademną był wielki wrzask. Rozlegały się okrzyki, migało na szafirowem tle nieba mnóstwo nóg. Widziałem krzyżujące się w powietrzu „sztyki", cofające się i znów wysuwające ręce...

Nagle spadł karabin z bagnetem i zarył się o dwie może stopy od mego boku, samym końcem utkwiwszy w ziemi.

Huku armat nie było słychać. Przyciszony grzechot karabinów maszynowych grał łudząco żabim głosem. Na prawą ścianę dołu padała smuga światła księżycowego.

Oto com spostrzegł zrazu. Człowiek obok mnie leżący jęczał dalej, wymawiając jakieś słowa w nieznanym mi języku.

Krzyki i zgiełk oddaliły się tymczasem szybko. Od czasu do czasu zajęczało jeszcze: Hurra! Hurra! Potem głosy rozpełzły się, wsiąkły w noc, przepadły. Tylko grzechot żab wojennych trwał dalej nieprzerwanie, daleki, stonowany już z wieczorem letnim, światłem księżyca... pokojowy... słodki niemal.

— Wam możet małaka? — spytałem rannego. — U mienia jest... Chatitie li?

Nie wiem sam jakbym mu mógł dać tego mleka, nie mogąc się zbliżyć. Wargi jednak same wypowiedziały propozycyę. Począłem tedy czynić wysiłki, aby spełnić com powiedział.

— Paszoł won! — odchrypiał głos. Potem dodał jakieś przekleństwo w narzeczu, które mogło mieć dalekie powinowactwo z językiem niemieckim.

— Wollen Sie etwas Milch? — spytałem po chwili.

Ranny poruszył się, jęknął i zapytał po niemiecku jakimś dziwnym akcentem:

— Któż pan jesteś? Co pan tu robisz?

— Jestem Polak. Raniony o ile wiem, w nogę. Wyszedłem za miasto po wiktuały i zaskoczyła mnie bitwa. Co panu jest? gdzie pan ranny?

— Nie wiem. Boli mnie całe ciało. Ale miarkuję ze wszystkiego, że mam kulę w kości biodrowej.

Zacząłem powoli zmieniać pozycyę i przybierać takie położenie, któreby mi dozwoliło siąść blizko rannego i razem z nim napić się mleka.

— Nie ruszaj się pan! — powiedział mój towarzysz. — Nie ruszaj się, kiedy cię boli. Głupi sentymentalizm słowiański...— dodał po chwili.

— Niemcy są nierównie bardziej sentymentalni! — odparłem.

— Przedewszystkiem to nieprawda. Przez cały dzień, przez przeciąg załatwiania interesów są trzeźwi... trzeźwi aż do okrucieństwa. Sentymentalizm zaczyna się o 6-tej wieczór, po fajerancie... między kolacyą a spaniem i płynie na falach piwa... Pozatym zresztą nie jestem wcale Niemcem... Jestem Finlandczykiem. Czułostkowość wasza, słowiańska, tem się odznacza, że wybiera sobie do zamanifestowania czas najniekorzystniejszy dla danego osobnika. Ba... wy nawet działając na swoją własną korzyść, nie możecie nie ponosić jakiejś szkody ...wy jesteście wogóle urodzeni marnotrawcy... Zresztą jeśli możesz, wsadź mi pan ten tornister pod głowę... Taaak. Dziękuję. Uff! Czekaj pan... jeszcze trochę odpocznę. Trzeba panu zresztą wiedzieć, że miałem wczoraj wybuch krwi. My jesteśmy do służby w piechocie nie bardzo sposobni... Widzisz pan, wielkie obszary... proch. Nam trzeba słonego powietrza i dużo... dużo wilgoci. Byle jakiś mały mankament w piersiach, z którym w pokoju żyłby człowiek sto lat, a tu... zaraz... suchoty. Ot co. Toczno taks. Sapermentl.., to jest miałem powiedzieć... ...twoju mać... Ale mniejsza. Nikogo przecież niema. Dawaj pan to mleko...

Pił chciwie. Śledziłem zazdrośnie przechylanie się powolne blaszanki. Paliło mnie pragnienie, spotęgowane jeszcze widokiem pijącego. Napiłem sie wreszcie i ja i wstąpiła w nas obu otucha.

— Nie bój się pan nic! — rzekł mój towarzysz. — Mam latarkę elektryczną i syrenę... a oto gwintówka ze sztykiem tam, jak widzę. Będziemy dawali sygnały. Tylko nie zaraz. Nie teraz. Która to może być godzina. Czekaj pan... poszukam zegarka, tylko sobie po tem piciu odpocznę trochę... Potem... gdy pójdą kozacy... bo kozacy zawsze łażą po polu bitwy... potem będziemy dawali sygnały. Dyabeł wie, kto wygrał dziś. Ale zawsze jacyś sanitaryusze będą poległych obszukiwać... to jest chciałem powiedzieć... będą szukać rannych.

Umilkł wyczerpany. Przez długi czas panowało milczenie. Oparci o pochyłą ścianę dołu, siedzieliśmy niemi. Otoczyła nas czarowna cisza nocy księżycowej, której urokowi oprzeć się było trudno. Siedzieliśmy rozmarzeni. Zdawało mi się już, że towarzysz mój zasnął, gdy wtem doszedł mnie jego cichy szept. Mówił do siebie w ojczystym swoim języku, przeto nie rozumiałem ni słowa. Ale po chwili, widać party chęcią zwierzenia, zaczął po niemiecku:

— Szkoda mi tylko porzucać to, co zacząłem, szkoda mi tej cząstki powierzonej mi pracy, której już nie dokończą... Właściwie, to my jesteśmy bracia... wy i my. Bracia w cierpieniu. Dlaczegóż więc nie powiedzieć panu. Żal mi umierać, bo tam... w domu będzie luka. O... wypełni się. Ale zawsze będzie przez czas jakiś luka. Widzisz pan. Wy jeszcze nie nauczyliście się nienawidzić. Wy... po stu latach niewoli jeszcze nie umiecie silnie, mocno nienawidzić ciemięzców. Wy tylko narzekacie. Ach... wy biedni Polacy. Kiedyż nauczycie się nienawidzić? Wierz mi pan, nienawiść może być równie dobrem źródłem cudu, jak miłość. Nienawiść jest stopniem pierwszym, na który wstąpić trzeba, chcąc pokochać... Szkoda, że nie umiecie nienawidzić, jak my.

Umilkł znowu, jakby się rozmyślił i nie chciał dalszych zwierzeń.

— Podajno pan ten karabin... taak. Tu z boku na piersiach jest latarka. Zaświeć pan. Teraz weź pan tę syrenę. Wsadź pan na sztyk latarkę i wzniósłszy wysoko, machaj nią. Przytem trzeba gwizdać syreną. To jest, uważasz pan, mała okrętowa syrena. Słychać bardzo daleko.

Uczyniłem jak kazał, przetknąłem przez kółko latarki sztyk i wzniósłszy jak mogłem najwyżej, machałem przez chwilę w prawo i w lewo. Jednocześnie gwizdałem przeraźliwie syreną. Ranny przyglądał mi się, potem oświadczył, że dość tego dobrego. Przez czas jakiś nasłuchiwaliśmy, czy się kto nie zbliża.

Nie czekaliśmy długo.

Ktoś szedł istotnie. Kroki ciężkie, nierówne zbliżały się wprost ku nam. Wstrzymaliśmy oddechy.

— Dawaj pan prędko karabin! — szepnął ranny.

— Co pan robisz na miły Bóg! — To pomoc!

— Pokaże się! — odparł pośpiesznie.

Kroki zbliżały się ciągle. Mogliśmy już rozeznać, że szedł jeden tylko człowiek. Przystawał, to znów ruszał szybciej naprzód.

Naraz, na szafirowym wycinku nieba, nad naszemi głowami zamajaczyła wysoka papacha kozacka. Kiwała się wysoko przez chwilę, potem zniżyła ku nam, a dwoje połyskliwych jak u wilka oczu zaświeciło w ciemności.

Towarzysz mój trzasnął donośnie zamkiem karabinu i krzyknął:

— Pastoj! Dawaj parol.

Czapa cofnęła się nagłym ruchem.

— Pastoj, ili wystrielu! — krzyknął.

Ciężkie buciska zaczłapały donośnie po polu, wreszcie tętent rozwiał się w ciszy nocnej.

— Widzisz pan. Tak się udaje karauł, to jest wartę na posterunku. Zdaje mi się, że to był szelma Czeczeniec. No... ten by nam dał bobu. Zobaczno pan ile nabojów w magazynie. Może się to przydać. Zwłaszcza, że przed jutrem nie możemy sygnalizować. Kozacy, jak się zdaje, łazić będą do późna, a sanitaryusze wcześnie się kładą spać.

— Nie domyśla się pan, co się rozegrało nad naszymi głowami i jaki rezultat? — spytałem.

— Nie wiem. Należałem do patroli i w linii strzałów znalazłem się zupełnie przypadkowo.

— Ale coś w tem wszystkiem być musi.

— Ano, dowiesz sie pan, skoro się wydostaniesz z tej jamy.

— Skoro się wydostaniemy! — poprawiłem.

Machnął ręką.

— Mnie to wszystko już całkiem obojętne.

Umilkł, skulił się i wydało mi się, że drzemie.

Milczałem nie chcąc mu przerywać spoczynku, ale gdy cisza wydała się zbyt długą i zaczęło mnie trapić przypuszczenie, że może zmarł, wziąłem porzuconą obok latarkę elektryczną i położyłem mu na piersiach.

Ani drgnął.

Zaniepokojony silnie, przyczołgałem się jak najbliżej, tak, że mogłem niemal ucho do ust jego przyłożyć.

Oddychał, ale niezmiernie lekko. Zaledwie mogłem pochwycić ten oddech.

Uspokojony, oparłem głowę o stok naszej dziury i zapadłem w półsen.

Ledwo zawarłem powieki, zaczęło mi się marzyć coś, z czego dziś pozostało mi tylko jedno widzenie.

Oto na kobaltowem tle nieba widnieje wielka głowa kundysa. Widzę dotąd nastawione uszy, z pyska zwiesza się długi ozór, a poniżej tych uszu i tego ozora błyszczy biała, szeroka krawata z czerwonym krzyżem.

Otwarłem oczy i to com zobaczył, znieruchomiło mnie i zimnym przejęło dreszczem.

Wsparty na łokciach, leżał nad brzegiem naszej dziury kozak.

Wysoka papacha osunęła mu się na tył głowy, pod czapką błyszczało czoło, a niżej ujrzałem dłonie ściskające karabin. Otwór lufy zwrócony był wprost na mego towarzysza.

Nie wiem, dlaczego nie krzyknąłem.

Widzę dotąd, jak lufa chwieje się w tę i tamtą stronę.

Kozak mierzył długo, wreszcie rozległ się trzask strzału.

Coś koło mnie jękło, nie wiem, może ja sam, może mój towarzysz...

Potem drugi strzał.

Rozbryźnięta ziemia osypała mi twarz.

Błyskawicznie zrozumiałem, w czem jeszcze szukać ratunku. I leżąc tak bez ruchu, z zapartym oddechem, patrzyłem. Kozak ostrożnie zlazł do jamy, potrząsnął zabitym, potem mną, obszukał najstaranniej naprzód mego towarzysza, potem mnie, schował co znalazł do kieszeni długiej swej bekieszy a potem, na ostatku, wziął w rękę elektryczną latarkę, i odsapnął z zadowoleniem. Przycisnął guzik. Jaskrawe światło oblało jego twarz.

Ujrzałem oczy roziskrzone, łakome, maleńkie, skośne, silnie wystające kości policzkowe i cienkie obwisłe wąsy.

Zgasił światło i zaświecił znowu, bawił się.

Oślepiony ciągłem migotaniem, zamknąłem oczy.

W tejże chwili rozległ się śmiech.

Śmiechu tego nie zapomnę nigdy. Gdyby tygrys umiał się śmiać, takimby zaśmiał się głosem.

Po chwili kozak wylazł na wierzch.

Na tle nieba, osrebrzonego już szeżogą brzasku, zarysowała się jego postać w gigantycznych jakichś rozmiarach.

Z niewysłowionem upodobaniem ściskał w ręku elektryczną lampkę i ustawicznie zaświecał ją i gasił.

Manipulował światłem niezmordowanie, a kąty jego warg podnosiły się w straszliwem, wilczem rozradowaniu. Opłaciło mu się.

CIENIE.

Płynęły po równi, na którą zstępywać zaczął wczesny, jesienny mrok.

Szły polami mgły szafirowe, zlekka przysłaniając chwiejące się we wietrze kiście traw, nie tykając ziemi. Szarzały na drzew pniach czerniawych, opryskanych jeszcze kroplami błyszczącego, zczerniałego złota zachodu, zawisły na chwilę w rosochatych, napoły obnażonych konarach, gdzie liście blade osępieniem, wyjałowione z barw w topieli dżdżów długich chwiały się monotonnie, jak wahadła zegarów, świadome, że jeszcze chwila, jeszcze ruch jeden... drugi, a pójdą precz... daleko... na śmierć; — zaczepione rąbkiem szat o czarne miotły krzaków wibrowały moment... potem niesione podmuchem pełzały dalej powoli, uroczyście, dziwiąc tym pochodem zasypiające w gęstwie poschniętych traw ostatnie kwiaty jesieni i przypadłe do gruntu, nabierające sił do odlotu ptaki.

Równia zasypiała. Położyła się, szeroko rozrzuciwszy płaszcz pod kobaltowym stropem nieba. Na zachodzie ostatnie promienie słońca, co dawno zstąpiło za horyzont, oglądając się na zaśnioną, zapaliły u jej czoła niby lampkę nocną, ale i to światełko mglało z każdą chwilą, stawało się wątłem, jak oddech umierającego... Płynęły cienie coraz wyraźniejsze, rozśmielone snadź ustąpieniem jasności, krok ich nabierał tętna... zasypiające stworzenia mówiły sobie:

— Oto idą... ich godzina. Śpijmy... cóż nam?

Były teraz jak słupy dymu dalekich spalenisk jakichś, spalenisk przeogromnych, po których łuny skonały dawno... prostowały się, zwierały w sobie... próbowały kształtów, niepewne, jakie przyodziać... Czasem przystawały... czekały na siebie... obracając się za towarzyszem, który się pochylił nad jakimś zaśnionym kwiatem, czy liściem spadłym zadumał... stawały kołem na naradę, zbliżały ku sobie czołami... jak mędrcy idący z nieznanych świata ostępów ku dalekiej kolebce, gdzie śni jakaś nowa, nieznana ludziom prawda, pociągająca przez dale ku sobie serca spragnione... i ruszały powoli dalej, uniesione nad samą ziemią, jakby się bały jej czernią powalać... jakby omijały troskliwie łachy coraz grubsze ciemności... Płynęły zwiewne, a silne, znikome, jak sen, a twardsze i pewniejsze, niż życie samo... nieśmiertelne.

Nie poszły zawisnąć kędyś wysoko ponad światem, patrzyć na bezlik zjawisk z pobłażliwym uśmiechem wyzwolonych duchów... ale słaniały się ciążąc ku ziemi, jednocześnie niechętne jej dotknąć, rozstać się z nią nie mogły.

Czarna sylweta małej mieściny odcinała się niewyraźnie na ciemnem niebie, na skraju nieboskłonu.

Opary płynęły ku miastu.

Zdało się, że przyciąga je nikły... ledwo dostrzegalny przebrzask tam gdzieś w stronie przedmieść, w pomiędzy czarnej, podłużnej plamy skupionych drzew, mżący jasnością drgającą, dziwną, co nie jest światłem jeszcze, a ciemnością być przestała.

Na cmentarzu ruch panował i krzątanina.

Miedzianymi blaskami oblane drzewa stały zdziwione, zaskoczone dziwną jawą, która im sen przerwała zwyczajny. Posnęły z zachodem i nagle przyszło coś niespodziewanego. Ludzie przypomnieli sobie nagle o tych, którzy leżą sami długie, długie noce... Przyszli.

Przyszli tłumnie, biegają tu i tam. Ogromne cienie skaczą nerwowo po ziemi, pniach drzew, krzewach, łamią się na

krzyżach, płytach, dzielą i łączą, szukają jakby kształtów, wiążą w zrozumiałe mniej więcej postacie i znowu, jak w kalejdoskopie, poruszanym jakąś niewidzialną ręką, rozpryskują się na elementy i gonią za nową kombinacyą, która będzie taksamo znikomą i krótkotrwałą, jak porzucona przed chwilą. W dziwnej tej krzątaninie wpadają pomiędzy nagrobki. Wydłużają się nadmiernie, karykaturalnie, niby groty czerni, śmigają w czerń nocy, toną... sycąc tym ustawicznym przypływem ciemności aksamitną głąb, co zda się czernieje z każdą chwilą bardziej.

U podnóży nagrobków, na ramionach krzyżów zachwiały się płomienie. Grupy świec koślawych od gorąca zapadły w suche trawy i sieją poświatę poprzez badyle.

Bezgłośne znienacka przerzucały się po powietrzu sowy, przynęcone światłem z dziupli drzew.

Jakaś pieśń zbiorowa, hymn, na czyjąś cześć nucony, dochodził z grupy bezlistnych już topoli. Widać było garść ludzi i chybotliwych tłum cieniów na sąsiednich nagrobkach.

Przytulona do kamiennego krzyża siedziała kobieta w czerni.

Trzymała pod pachą paczkę zawiniętą w papier i zdawało się, że śpi.

Ponad nią rozłożył się cień szarawy, cichy, nieruchomy. Sam jeden nie zmieniał zarysów i patrzył ponury, zadumany na sabat nocny. Czasem przyczerniał tylko, czasem się rozwidnił jakiemś blizkiem migotaniem.

Siedziała tuż przy drodze, a przebiegający ocierali się o nią bez ustanku.

Raz tylko, kiedy hymn przycichł, zerwała się, ale gdy rozebrzmiał ponownie, przypadła do kamieni i znieruchomiała znowu.

Pieśń zamierała, rytm jej zrazu zamaszysty, żołnierski, ton gorący, omdlewał z każdą strofą, wreszcie urwał się, zgasł... Rozległa się pieśń druga.

Czuby topoli osnuły opary mgieł. Bielały widmowo na czarnem tle nieba.

Ludzie ruszali się teraz powolniej. Taniec cieniów z szalonej galopady przeszedł w polonez. Sunęły ze sobą pasy światła i ciemności snuły się posuwiście, płynęły szemrząc, jak rzeka jakaś nieznana, niewiadomo skąd płynąca.

Pochód ten zostawiał, jak zostawia strumień kamienie na brzegu, ciemne postaci.

Zostawały u stóp pomników i zapadały w bezruch modlitwy czy znużenia.

Następna fala zmiatała je, porywając ze sobą i wyrzucała na brzeg inne...

Poświata nad cmentarzem rozlana przyciemniała, jak światło skręconej lampy.

Poczerniały płaszczyzny nagrobków, zatarły się ostre kontury cieniów.

Pieśń u wspólnej mogiły zamarła. Grupa śpiewaków rozwiała się na wszystkie strony.

Główną aleją przesuwać się teraz zaczęły cienie inne. Chłopcy niedorostki przebiegali rzucając okrzyki ostre, dzikie. Czasem zwierali się ze sobą w krótkiej szarpaninie. Wylatywały w powietrze czapki, rozlegały się dosadne przekleństwa. Szło o niedopałki świec i szarfy wieńców, zdarte z nagrobków nie dość troskliwie pilnowanych.

Cmentarz rozbrzmiał rozmową. Poczęły się ukazywać pary..., polatywały śmiechy.

Siedząca u stóp krzyża kobieta nie drgnęła nawet.

— Nareszcie... będzie można zasnąć na nowo — myślały drzewa.

Odstraszony gorącą, rozedrganą atmosferą światła, powracał teraz do swych praw przenikliwy chłód nocny. Jak firanka niewidzialna zesuwał się z góry na dół, coraz cięższymi, coraz grubszymi zwojami, kładł się na piersi ludziom, krzewom pochylał zda się czuby.

Cmentarz nie był już tak zatłoczony. Chwilami na ścieżce głównej nie było nikogo. Ziemia odzyskiwała spokój, nagrobki otulało zamyślenie wieczyste.

Kobieta podnosiła głowę... nadsłuchiwała.

Ale znów para jakaś rozbawiona przemknęła.

Znów cisza.

Podniosła się, przycisnęła silniej paczkę trzymaną pod pachą i poczęła zwolna kroczyć ku grupie topoli, skąd odeszli śpiewacy.

Szła cicho, jakby bojąc się spłoszyć ciszę, a żwir skrzypiał ledwo dosłyszalnie pod jej stopą.

Raz potrąciła ją jakaś przebiegająca żywo para. Raz znów zawrzasło około niej jakieś chłopczysko i przegrzmiał tętent pędzącego urwipołcia.

Szła prosto ku topolom.

Tkwiły w przemarzłej, wysokiej, stratowanej trawie, otaczając półkolem długą, niezmiernie długą, podobną do wysokiego zagona, mogiłę wspólną.

Tlało na niej w kilku miejscach dogasające ognisko potopionych świec, skwierczała przepalona trawa i iskierki przeskakiwały ku źdźbłom jeszcze niedosięgniętym żarem.

Upadła ciężko na kolana, a paczka wyleciała i rozwinęła się. Posypały się na ziemię krótkie, grube świeczki.

Leżała czarną plamą na rudziejącej jeszcze od światła murawie. Wstrząsał nią szloch cichy, bezgłośny, rozpaczny.

Opodal rozlegały się wrzaski, tętniły kroki, przelatywały urywki rozmowy... Nie słyszała.

Z rozłogu łąk nadpłynęły wysokie strzępiaste smugi białych mgieł i oplotły jak powoje smukłe pnie topoli. Stały wysokie, zadumane, zaróżowione od światła i dumały.

Życie niosące ze sobą rozgwar ustępowało coraz dalej, cofało się, jak pobita armia, spływało jak morze, z zagarniętej czasu przypływu wyspy śmierci. Skały wieczystej zadumy, na grobki pogrążały się w ćmę.

Niby szakale za armią ciągnące, przelatywały skowyty, ale i one słabły z każdą chwilą.

Z czarnego tła nieba wystąpiły fałdziste pasma chmur, festony obłoków zaczęły szarzeć i można już było rozeznać głęboki granat firmamentu, z wetkniętemi tu i tam brylantowemi głowicami gwiazd.

Kobieta poczęła teraz płakać... zrazu cicho... bezgłośnie... potem swobodniej...

Głowa jej, leżąca na ziemi, drgała nerwowo, drgały ramiona rozkrzyżowane, obejmujące w uścisk miłosny ziemię cmentarną i jego... i jego...

Rozpacz szukała go tu... niewiadomo dobrze nawet gdzie we wspólnym grobie.

Miłość parła się ku ukochanemu, pytając wszystkiego, co żywe i umarłe:

— Gdzie on... powiedzcie... gdzie on...

Szloch rozpierał jej piersi... długo powstrzymywany, tajony, na tę oto chwilę chowany szloch miłości — rozpaczy.

Serce tłukło się w piersi, jak serce ptaka, który po straszliwie długiej przez niezmierne oceany wędrówce, ostatkiem tchu dolata do pustego gniazda.

Gdzie jest... pokaż go Boże, który patrzysz z nieba...

Na chwilkę, na maleńką choćby chwilkę!

— W ekstazie tego pragnienia widziała wszechmoc, która powie mu:

— Idź do niej!

Pragnęła długo, niezmiernie długo... nie przyszedł.

Tedy zapragnęła zbliżyć się ku niemu, ale nie śmiała jednym skokiem paść w to coś nieznane, straszliwe w swej tajemniczości, a tak bardzo rozległe, że... szukać... bez pochodni wiary... nie sposób!

Szukać kropli wody w oceanie byłoby dziecinną zabawką. Jakże znaleźć jedną, maleńką, zwykłą duszę w bezmiarze zagrobowego istnienia, w bezmiarach czerni, gdzie się palą od

wieków ogniska jakichś bytowań niepojętych, a nie rzucają nawet najlżejszego blasku do nas... tak odległe... takie inne.

Łkała coraz ciszej... Zadumane spoglądały na leżącą różowawe cienie-mgły, zwisłe na gałęziach topoli.

Wysilała cała duszę swą w obłędnem, strasznem pożądaniu. Wszystkiemi siłami serca swego wołała:

— Chodź do mnie! Chodź do mnie!

Przestała łkać. Leżała nieruchoma, jak łachman całunu zostawiony po pogrzebie, jak zewłok człeka, który poszedł sobie precz...

Przygasły już niemal płomień dopełznął do suchej gałązki, rozjaśnił mgły, i nową, lekką na pnie rzucił poświatę.

Beznadziejność i cisza głęboka, ostateczna cisza dokonanych rzeczy, poza któremi niema już nic, zaległa wokół. Sowy wróciły do gniazd, poniechawszy na dziś żeru, czy też poleciały za ludźmi oszołomione ruchem, porwane prądem nieznanym, który nadszedł nagle... Cisza bezdenna, nienaruszona i nienaruszalna, zda się, zaległa wszystkie kąty.

Cienie stojące u topol zaczęły wibrować.

Jeden zakołysał się silniej od innych... postąpił kilka kroków.

Leżała nieruchoma... nie widziała nic, modliła się tylko skowytem pragnienia:

— Chodź do mnie! Chodź!

Nie widziała, że stoi przed nią... on... odziany w siwy mundur... wysoki... wysoki jako opar mgły... przeraźnie wysoki duch.

Towarzysze widnieli dalej posępni, nie tykający ziemi, zawieszeni ponad nią, z czołami utkwionemi kędyś wysoko w granacie niebios, czy w wierzchołkach topoli...

Leżała bez ruchu.

Wówczas on wyciągnął nad nią ręce i rzekł jak mówi duch... bez szmeru słów:

— Chodź do mnie...

Od czerni całunu poczęła odstawać jakaś miedziana, niezmiernie przejrzysta pajęczyna-mgła. Zawisła jak świetlana chmura nad leżącą i poczęła falować ruchem rytmicznym, szybkim, a harmonijnym. Była jako opar słoneczny, szukający dla siebie widzialnej formy... cień ciała.

On... postąpił jeszcze krok i powtórzył:

— Chodź do mnie...

Wówczas z mgły wyłonił się wyraźny kształt kobiecy... zajaśniały ręce... zarzuciły oplot uścisku na szyję ukochanego... ciało przywarło doń miłośnie... stali się jedną mgłą, jednem złudzeniem oczu... jedną wielką, nieśmiertelną prawdą, która ponad życie jest.

Cienie - towarzysze spoglądali smutnie, widząc, jak spleceni uściskiem popłynęli kędyś daleko... przez rozłogi pól... ku górze...

O CZEM WY NIE MYŚLICIE...

Był mglisty, szary, odrętwiały ranek.

Ten pan wstał z łóżka niechętnie, ubierał się powoli, długo wiązał krawat, jeszcze dłużej spacerował po pokoju w pantoflach... czuł, że ręce i nogi nie chcą się jakoś dzisiaj rzeżwo poruszać, a w mózgu niezwykle leniwo kształtują się myśli.

Chodził, bezwład snu czując na ramionach, jak ciężki jakiś płaszcz, wlokący się po ziemi, tamujący ruchy.

Jednocześnie zaś wiedział, że:

tam oto, w przedpokoju, poważny, opięty w mundur, punktualny jak zawsze, czeka Policyant-Dzień z ogromną teką spraw nie cierpiących zwłoki pod pachą.

Osobę taką przyjąć się musi. Można jeno, co najwyżej, opóźnić nieco audyencyę... oto wszystko.

Ten pan kompletował toaletę swoją z niezwykłą starannością, potem pił kawę długo... z lubością... wyborna właśnie dziś była kawa... następnie wspomniał dzień wczorajszy i z piersi jego uleciało kilka westchnień ulotnych. Dalej dla porządku, wspomniał także wieczór... noc... i musiał stłumić pewne uczucie, coś, co dawniej nazywano „wyrzutem sumienia", a co w sposób niemiły szarpnęło na moment delikatną tkankę jego nawskróś współczesnej duszy. Nareszcie uczuł się uporządkowanym na zewnątrz i wnętrznie i... ziewnął.

Audyencya właściwie mogła się rozpocząć.

Chociaż... zaraz. Spojrzał na zegarek... ee... jeszcze czas. Zaczekajmy, nic pilnego.

Rozparł się w fotelu. Był wyśmienity, głęboki, specyalny, taki jakich używają ludzie „silnie zajęci". Wlazł w miękkie jego, macierzyste wprost objęcia i przymknął oczy. Natychmiast zstąpiło nań rozkoszne rozmarzenie półsnu, zupełnie jak się to dzieje nad ranem, kiedy powracająca świadomość sprawia, że człowiek już wie, że śpi, a jeszcze nie musi koniecznie wstawać, ruszać się... słowem żyć. Niech tam sobie wszystko idzie swoim trybem... na moment, na chwilę jest się wyłączonym poza nawias życia... potem się dogoni... Aaa, jak dobrze.

Wydało mu się wprawdzie, że słyszy lekkie, dyskretne pukanie, ale pozostał bez ruchu. Po chwili rozebrzmiała w przedpokoju jakaś rozmowa.

To Policyant-Dzień rozmawiał z kimś nieznanym. Tem lepiej, pomyślał, nie będzie pukał. Niech sobie rozmawia.

Ale rozmowa stawała się coraz głośniejszą i żywszą. Policyant tłumaczył jasno, dobitnie, jak przystało policyantowi.

— Łaskawy pan wybaczy, ale przedewszystkiem ja... to rzecz jasna. Ja jestem Policyant-Dzień... pan mnie rozumie... prawda?

— Nie mój panie! — oświadczył ktoś drugi. — Dzisiaj właśnie wejdę pierwszy ja!

— Tak? Dziś właśnie? I dlaczegóż to? A któż pan właściwie jesteś?

— To rzecz moja i Tego pana... zrozumiano?

— Ale mój panie, to jest gadanie...

— Tedy, powiadam: precz z tą teką! Usuń się pan!

— Za pozwoleniem! Oooo!

Coś ciężkiego spadło na ziemię. Rozległo się jakieś jakby szamotanie. Kilka razy obcasy czyjeś uderzyły w drzwi.

Ten pan wyprostował się w fotelu zdziwiony, zaskoczony wypadkiem i czekał.

Stało się coś dziwnego. Przyszedł jakiś człowiek i ośmie-

lił się usunąć z drogi istotę silną ponad wyraz wszelki, ów mus ucieleśniony w kształt Policyanta-Dnia, ową konieczność twardą i realną, jak życie samo, tego wroga, przeciw któremu snuło się tyle razy kunsztowne spiski, zakończone zawsze smutną porażką, prześladowcę, przed którym uciekało się wielokrotnie, zmieniając tajemniczo mieszkanie, myląc pogoń, wędrując daleko lądem i morzem, osobnika, którego się przeklinało ile razy stawał przed tobą wyprostowany, zapięty, punktualny, niezmiennie zawsze w tym samym mundurze, bez względu na porę roku i szerokość geograficzną...

Wszystko to przemknęło mu przez myśl błyskawicznie i na dobre już przerażony patrzył na drzwi, które otwarły się cicho, bez szelestu, z fatalistycznym jakimś spokojem.

Stanął przed nim człowiek wysoki, chudy, o rysach twarzy nieuchwytnych, jakby rozwianych. Miał jasne, złote włosy i niebieskie oczy, nie patrzył jednak na Tego pana.

Ubrany był w długi, czarny, matowy anglez i miał czarny miękki kapelusz w ręku.

Zachowanie jego stało w sprzeczności z tem, co dopiero przed chwilą wykonał.

Przybysz cicho, bez szelestu zbliżył się do stołu, wziął krzesło, usiadł w milczeniu i podparł głowę rękami. Nie spojrzał na Tego pana, ani też nie skłonił się wcale, słowem postępował, jakby był u siebie.

Gospodarz tkwił w fotelu osłupiały.

— Nie poznajesz mnie pan widzę?

Zapytany podniósł dłoń do czoła i zaczął je trzeć gwałtownie. Odganiał złudę, przywoływał się wszystkiemi siłami do jawy, wreszcie rzekł:

— To jest właściwie...

— A jednak nie pierwszy raz się widzimy...

— Prawda... prawda...—rzekł Ten pan i myślał: Gdzie ja go też widziałem...

— Na pogrzebie brata... — odpowiedział nieznajomy.

— Ach tak, tak... prawda, na pogrzebie Julka! Biedny Julek!

— A potem, na pogrzebie matki... długo rozmawialiśmy ze sobą.

Ten pan nie odpowiedział. Zamyślił się o matce. Potem wydzierając się przemocą z fal ogarniającego go jakiegoś fascynującego czaru, spytał szyderczo:

— To pan widać bywasz na wszystkich pogrzebach?

— Ile razy coś ma przepaść — mówił nieznajomy — zaginąć bezpowrotnie, zjawiam się natychmiast. Podnoszę niespodziewanie piękne i cenne klejnoty, jakie często gubi biedak bezdomny, kroczący drogą życia. Ludzi, których ktoś kocha... choćby daleko był, prowadzę za rękę i ostrzegam przed zasadzkami... Noszę wieści, idąc szlakami, którędy ptak nie przeleci. Spotykam wszystkie zjawy życia, znam każdą po imieniu, a kroczę w kierunku odwrotnym... pod prąd... Dziś odprowadziłem starca, który zachwiał się na ulicy. Umrze. To nic. Przyniosę mu za kilka dni list od syna. Walczy daleko stąd... Dziś do ciebie przychodzę... wiesz czemu?

Ten pan siedział i słuchał zrazu przerażony, potem jednak uspokoił się... uległ. Poddał się przemocy, jaka nań niespodziewanie zarzuciła sieci i siedział milczący.

— Panie — ozwał się po chwili — powiedz pan, kim jesteś?

— Kim jestem,.. pan nie wiesz? To dziwne.

W tej chwili podniósł głowę i spojrzenie swych wielkich modrych oczu utopił w pytającym.

Ten pan spojrzał w oczy i nie mógł już przestać patrzyć. Oczy nieznajomego wydały mu się dwoma oknami, przez które widniała szafirowa dal. Ujrzał niebo ciemne, wypiętrzone nad równiną rozległą, na którą zachodził zmrok. Skądś, od zachodu, snuły się mgły sine, zlekka przysłaniając rozbujane na wietrze wiechy traw wysokich. Sunęły uniesione ponad samą ziemią, jakby się bały jej czernią powalać, omijały łachy coraz to grubszej ciemności, zalewające zapadnięcia gruntu, płynęły zwiew-

ne, falujące, jakby próbowały kształtów, jakby niepewne, w jaki się obraz skrysztalić. Słaniały się czasem, to znów stąpać poczynały twardo. Ruszały naprzód, to znowu przystawały, czekając na opóźnionego towarzysza, który pochylił się nad zaśnionym w gęstwie traw ptakiem, czy późnym kwiatem jesiennym... zwisały niby festony na ziemię, to znowu prostowały się, sięgając czołami kopuły nieba.

Ten pan spoglądał na dziwną fantasmagoryę zdziwiony... nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć. Po chwili jednak wydało mu się, że stąpające kolumny mgieł, to żywe istoty, które idą dokądś powoli, zmierzają do jakiegoś celu... tak... tak idą. Na miłość Boską, pomyślał... wszak to oni... Tak, niewątpliwie oni... kochani!

Mimowoli wyciągnął ku nim ręce.

— Tak, to oni! — powiedział przybysz.

— Oni... kochani...

— Zapomniani! — dodał nieznajomy.

— To prawda! — zawołał Ten pan z żalem.

— Teraz już nie! — pocieszył przybysz. — Patrz, zwracają ku tobie twarze... uśmiechają się...

— O moi mili... moi drodzy — mówił Ten pan i wyciągnął znowu ręce.

Ogarnął go żal wielki, pragnienie pójścia tam... z nimi... Uczuł nagle ból wszystkich ran, jakie mu dotąd zadało życie... zbudziła się nieprzeparta żądza odejścia precz, pożądanie zerwania łańcucha, uprzytomnił sobie konieczność ucieczki przed tym tam czekającym u drzwi dręczycielem i nagle z piersi jego wydarło się wołanie:

— Zabierzcie... zabierzcie z sobą!

Nieznajomy spuścił głowę. Widzenie znikło.

— Nie wolno wołać, nie powinno się pragnąć śmierci, wspominaj jeno z miłością i módl się, to wystarczy.

Ten pan zakrył rękami oczy. Oprzytomniał, ale tylko po to, by pojąć, że stoi wobec drugiego nieprawdopodobieństwa, które jest jednak rzeczywistością.

— Kim pan jesteś... powiedz—błagał — nie mogę pojąć.. dlaczego przychodzisz do mnie?.. czemu dziś właśnie?

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Dziś jest mój dzień... i ich dzień—rzekł z naciskiem— ...nie wiesz pan tego?

Ten pan uderzył się nagle dłonią w czoło i wykrzyknął

— Prawda! Prawda... Ależ kim właściwie pan jesteś...

Nieznajomy powstał i wpół ku drzwiom, wpół ku pytającemu zwrócony rzekł:

— Kim jestem, pytasz pan... To przecież rzecz prosta, jestem... tem, o czem wy, ludzie dzisiejsi, nie myślicie...

TO BYŁ ON...

Stał zapatrzony w ciemną dal, oparty o ścianę chałupy, z karabinem na plecach i dumał. Posterunek mieścił się na niewielkiem wzgórzu, grunt opadał połogo, rozlewając się we wielką równię, obrzeżoną od zachodniej strony czarną, zębatą sylwetą wsi, u krańca której piętrzyła się zwarta masa drzew.

Granatowe niebo, wypełzłe nieco na skraju, horyzontu, sklepiło się ciche, dumne nad bezgłosym światem, niby przeogromny baldachim rozpięty stropem niezmiernego łoża, gdzie śni swój sen o życiu twór wszelaki, a srebrne gwoździe gwiazd, wbite w aksamit nieba, migotały głowicami szlifowanemi ręką aniołów od zarania przedwieczności.

Było cicho. Ustał prąd wiatru płynąć, położył się spać w trawie... spoczywał, czy czekał na coś... niewiadomo.

Żołnierz zaparł się nogami przed siebie, wygiął znużone plecy, zwisł na ścianie napoły rozwalonego domostwa i trwał w stanie sennej jawy, w której miesza się sen z rzeczywistością. Stał i nadsłuchiwał odgłosów. Wydało mu się, że pełni służbę, już długo, długo, wieki całe. Przez ten czas przemyślał już wszystko, co tylko mogło wejść w zakres świadomości człowieka nie posiadającego żadnych źródeł prócz własnych wspomnień, dawno zwietrzałych, kilku fragmentów przeżytych osobiście, wyrwanych z całokształtu zjawisk, przeto niezrozumia-

łych, oraz kręcących się ustawicznie około jednego tematu rozmów towarzyszy.

Karabin odgniatał mu ramię boleśnie, nogi drętwiały, po plecach pełzał jadowity ziąb, podobny do węża szukającego miejsca gdzieby użreć. To oczekiwanie, ten ból tępy, ten stan pustki duchowej i zimno łażące po ciele, wszystko razem nakryła jeszcze płaszczem swoim nuda i zapanowała, przytłumiając inne uczucia.

Od bagien szło tchnienie zimna. Płynęło nie jak wiatr płynie, szumnie, otwarcie,—zbliżało się niewidzialnie, bezgłośnie, stąpało po koronach późnych kwiatów jesiennych i czubach traw brutalnie, niespodziewanie z uciechą i tępym spokojem świadomej siebie bezkarności.

Żołnierzem wstrząsnął dreszcz i ruch ten mimowolny zbudził go na chwilę z zadrzemania.

Wyprostował się, podrzucił karabin na plecach i nagle zwrócił się w lewo.

Począł iść powoli wzdłuż ściany. Gdy mijał jedno z czarnych, wyrwanych wraz z ramami okien, mimowoli rzucił okiem przez czeluść do środka.

Spojrzał i — zdrętwiał.

Uczuł, że włosy powstają mu na głowie pod czapką, zimno mu się zrobiło w piersiach... stał przez chwilę nieruchomy, spokojny, jakby porażony. Głowa jeno opadła mu nagłym ruchem w dół, jak po śmiertelnym strzale w skroń.

Stał, walcząc rozpacznie z niemożliwością uczynienia ruchu wstecz czy naprzód, wreszcie zebrał całą wolę, szarpnął się, rzucił całem ciałem w bok, biegiem minął drugie okno i stanął skryty za węgieł domu.

Tam, wewnątrz, świecąc na czerni jak próchno srebrnym blaskiem, siedział ktoś na kupie worów. Siedział z kolanami niemal pod samą brodą, podparłszy głowę rękami i śmiał się.

Żołnierz zerwał z ramienia karabin i ściskał go nerwowo w obu rękach.

Serce tłukło mu się w piersiach, do głowy buchnęła fala krwi. Czuł, czego nie doznawał nigdy, czasu najsroższej pukaniny, że go coś ściska za gardło.

Stał tak przez czas jakiś, wreszcie w świadomości zaświeciło mu:

— Dzięki Bogu, mam przecież zapałki!

Nie wiadomo dlaczego wydało mu się to wybawieniem, przecież za nic nie byłby podszedł do okna, by poświecić.

Stał i czekał na jakiś szelest, na jakiś ruch i pragnął gorąco, by to był jakiś żywy, prawdziwy człowiek. Niechby się potem stało cokolwiekbądź... Mniejsza z tem... byle to był tylko człowiek... złodziej... wróg... byle człowiek.

W domu panowała głęboka cisza.

Ostrożnie postąpił krok jeden naprzód i — omal nie krzyknął w głos.

Coś brzękło metalicznie, rozgłośnie tuż obok i potoczyło się po kamieniach.

Błyskawicznie złożył się do strzału, mierząc, o ile ciemność pozwalała tam, gdzie musiałby wychylić głowę człowiek, chcący wyjść oknem.

Nie strzelił jednak. Coś, czego nie umiałby określić, szepnęło mu nagle do ucha.

— Czekaj!

Stojąc tak z bronią przy oku spostrzegł nagle, że kontur chałupy odcina się jaskrawo na jakiemś rudawem, niemal czerwonem tle. Wpatrzył się lepiej w czerwień i pojął, że to jest łuna.

Natychmiast doznał ulgi. Spostrzeżenie uczynione złamało napięcie nerwów. Opuścił karabin, odstąpił od ściany i znowu potrącił coś, co brzękło rozgłośnie i potoczyło się dalej na dół.

Odetchnął pełną piersią. To była blaszanka z konserwy... tak, wszystko w porządku.

Wciągnął kilka razy głęboko w piersi zimne powietrze

w płuca i potarł ręką czoło. Zaraz też pojął resztę. Światła na cmentarzu... oczywiście.

Postąpił jeszcze krok i spojrzał już całkiem przytomnie w dal.

Wiedział już wszystko... oczywiście wiedział, że mu się przywidziało, ale porwany jakąś dziecięcą chęcią wejścia przecież do ciemnego pokoju, gdzie... wiadomo... niema niczego strasznego, przystąpił do okna i krzyknął donośnie:

— Halt! Wer da?

Nie oczekiwał odzewu. Wydało mu się tylko, że to jest obowiązek.

Nic nie przerwało ciszy, ale wewnątrz nie było całkiem ciemno. Poświata idąca ode wsi pozwalała rozróżnić przedmioty. Tedy ujrzał worki spiętrzone jeden na drugim, na samym zaś wierzchu stał oparty o ścianę rozwiązany wór owsa, z którego wzięto przed kilku godzinami parę garncy dla koni oficerskich.

Poweselał. Epizod ten dodał mu otuchy. Zaczął teraz chodzić raźno tam i z powrotem, stukając obcasami o kamienie rozrzucone po ziemi, szczątki jakiejś budowli rozbitej w proch pociskami armatnimi.

Miał chęć zagwizdać sobie, ale ledwo złożył wargi, chęć ta go odbiegła, uczuł natomiast jakiś wnętrzny nakaz, by był cicho.

Stanął więc znowu na tem samem miejscu i zapatrzył się w dal, na której leżała delikatna, ruda poświata.

Drzewa cmentarza odcinały się ostrymi konturami na czarnem, aksamitnem teraz tle nieba. Światło drżało, migotliwa szeżoga leżała nizko, na trawie samej nieledwo, była jakby jeno świetlnym oparem bagnisk, nie miała nic z rzeźwości światła żywych, które budzi radość i poczucie łączności z ludźmi. Zbiegały się do niej same jeno nietoperze i duchy... to pewne... mimo to jednak, ten nikły pas jasności, leżący na czerni, wydał się patrzącemu zjawą stałego, trwałego lądu na bezmier-

nym, nie mającym dna oceanie smutku. Śledził z uczuciem rozrzewnienia drżenie połyskliwe i szeptał:

— Zaduszki... dzisiaj Zaduszki. Całkiem zapomniałem...

Myśli wykonały błyskawicznie zwrot wstecz i biegły w przeszłość, ku dniom i ludziom, którzy przeminęli, pomyślał o rodzicach... bracie jednym, drugim... kędyś na wojnie. Dawno już nie miał wiadomości... zwłaszcza o Jóźku... ciekawość, czy już wyszedł ze szpitala... Ej, pewnie już na froncie! Tylko gdzie...

Toczyły mu się przez myśl obrazy znane, płynęła wstęga życia małego, spokojnego, snująca się skądś z nieznanych dali powoli, jednostajnie... nagle przerwana... wystrzępiona... Wydało mu się, że wszystko to było, niby jakaś cicha, mała chatka, przytulona do stromej, silnej opoki... pewności jutra... Nagle padł granat z nieba i chatka znikła, jakby zdmuchnięta... bez śladu. Starzy uszli... błąkają się gdzieś światami, żyjąc z zasiłków jakie im wysługują synowie na wojaczce... straszna wysługa... Młodzi—w polu.

Niema nawet i o czem tak znów wiele myśleć.

Pozostaje tylko po całem tem zajściu niespodziewanem, którego nikt nie oczekiwał, jakby jakieś stałe zdziwienie. Występuje ono w chwilach rzadkich samotności, w momentach nudy, kiedy rozwieje się wspomnienie służby i codziennych jej wymagań... czasem też przy szklance piwa...

Jakże się to wszystko mogło stać? A więc to jest prawda!

Jakiś niezmiernie silny, potwornie wielki, słoniący sobą wszystko olbrzym powstał na ziemi, na której leżał od czasów niepamiętnych niewidoczny, niepoznany przez całe pokolenia i rzekł:

— Chodźcie!

A wszyscy poszli gdzie kazał.

Oczywiście żył i leżał wtopiony ciałem kędyś w ziemię, podobny do rycerza śpiącego z bajki i był, gdy wszyscy się

śmieli mówiąc, że dawno zmarł... żył, gdy wszyscy pokazywali grób jego... często pobierając opłatę. Są tedy na świecie rzeczy namacalne, realne, których jednak nie widać... których nie widać długo... długo... Może się coś przez czas niezmierny ukrywać, coś zmarłego, co jest silniejsze od tego, co żywe i mocne. I to coś właśnie w chwili, gdy się najsilniej zaprzecza mu potęgi, nagle podnosi głowę, prostuje się i rośnie, rośnie przeraźnie szybko, sięga głową nieba, staje się jak zwał chmur, niosących w swem łonie burzę zagład, pokrywa czarnym dymem szafir niebiosów, szafir tak jasny wczoraj jeszcze, przeczysty od kiedy myśl zapamięta... i piorunowym głosem mówi:

— Otom jest!

Wszystko to przedstawiało mu się w stanie napoły jeno sformułowanym, obleczone w mgławicowy kształt wielkiego nieustannego zdziwienia, które to uczucie nikło często w fali codzienności, zatracało się w rytmie dziarskich piosenek, tonęło w rozgwarze rozmów, niszczało zda się doszczętnie... a jednak trwało i wychylało głowę na świat... Podobnie czuło wielu.

Zadumał się, zapomniał na chwilę, gdzie jest i co robi. Cisza panowała długo.

Nagle drgnął całem ciałem. Coś zaszeleściło tuż obok.

Zerwał z ramienia karabin i czekał.

Szelest szedł powoli ku niemu. Nagle ucichł. Rozległo się natomiast ciche, krótkie skomlenie.

Zaklął pod nosem i zaczął wabić:

— Na tu... na tu!

Biały duży pies wynurzył się z ciemności i stanął w odległości jaką mu naznaczyło widać wojenne doświadczenie. Chudy był niezmiernie. Kręcił ogonem, nie zbliżał się jednak, badając troskliwie sytuacyę. Spoglądał to na chałupę, to na żołnierza, jakby niepewny, skąd się można więcej spodziewać doraźnych korzyści dla żołądka.

— Na tu... na tu! — wołał żołnierz.

Pies dalej kręcił ogonem i stał na miejscu.

— To idź do djabła! — zaklął wreszcie i ruszył dokoła chałupy.

Zdaleka, ostrożnie kroczył za nim pies. Obeszli tak obaj dom dokoła i stanęli na dawnem miejscu. Naraz pies podniósł pysk do góry, zachłysnął się jakby własnym głosem i zaczął ujadać. Szczekał przeraźliwie. W ciszy nocnej szczekanie to rozlegało się przeraźnie, okropnie.

Głos miał ochrypły, natrętny, wrzaskliwy.

Żołnierz począł nań wołać, a gdy to nie pomagało schylił się, podniósł odłamek cegły i rzucił. Pies uskoczył w bok, ale nie poszedł. Przeciwnie, podniósł jeszcze wyżej pysk w niebo i począł teraz wyć przeraźliwie... aż się dusza mroczyła od tego wycia.

Żołnierz rzucił jeszcze kilka razy za psem. Nic nie pomogło.

Pociski rzucane w ciemność nie trafiały, pies zdawał się wiedzieć o tem.

Nie było rady. Obejrzał się instynktownie czy go kto nie widzi i... zatkał sobie uszy. Wycia takiego nie słyszał dotąd. Nie wiedział gdzie leżała groza tego głosu... mroziło to jednak serce.

Stał tak i czekał.

Pierwszy raz w życiu cierpiał, cierpiał dotkliwie z powodu takiej błahostki.

Wokół czarno było już całkiem. Światło na cmentarzu ścmiło się, żarzyło się już tylko, znacząc linię dzielącą ziemię od horyzontu. Na czerni tej rysował się pies jak duch.

Nagle głos urwał się, prysnął jak struna instrumentu, przepadł, jakby psa pochłonęła nagle rozstępująca się pod jego nogami ziemia.

Już nie było plamy białej... wokół cisza tylko i czerń

niezgłębiona z małym paskiem rudawej poświaty tam na lewo.

Odetchnął z uczuciem ulgi i właśnie chciał się oprzeć wygodniej o ścianę, gdy nagle serce jego bić przestało. Zmartwiał i zakrzepł... oczu od ciemni oderwać nie mogąc.

Z bezdni nocy podniosło się coś i szło ku chałupie.

Białe, jak opar, wlokąc się wolno, jak znużony drogą daleką człowiek, lazło na uginających się nogach, a ręce wyciągnęło ku żołnierzowi...

Ostatnim wysiłkiem rozwarł usta i wydał krzyk przejmujący, potem padł zemdlony.

Gdy znowu otwarł oczy, ujrzał nad sobą czapkę żołnierską, i sterczący za nią bagnet.

Zmieniano wartę. Kapral mówił coś do niego... groził jakąś karą... nic nie rozumiał. Przed oczyma miał ciągle owo coś białego, co doń szło z czarnego tła nocy.

Instynktownie wykonał tylko przepisane regulaminem ruchy i poszedł za kapralem ku kwaterze. Ani na chwilę nie znikało mu z przed oczu widzenie. Szedł, a chwilami zdawało mu się, że idzie właśnie ku temu czemuś nieznanemu... czemuś, co straszne jest, a jednak pociąga, wabi...

— Przyszła poczta — rzekł wreszcie kapral, wielki gaduła, którego gniew przeminął, utonął, rzec można, w tem opornem milczeniu towarzysza. — Masz list.

— Co? — zdziwił się nareszcie. Odetchnął głęboko, raz drugi, a potem spytał:

— A nie przeczytaliście od kogo ten list?

— Nie wiem... nie moja rzecz! — rzekł wyniośle i dodał po chwili: — Jakaś tam Feldpost, ale zapomniałem jaka...

— Żołnierz rozwarł szeroko oczy. Szedł przez czas jakiś w milczeniu, automatycznie. Nagle uczuł, że z ócz jego zaczynają padać łzy. Nie wiedział że płacze, czuł jeno nieprzyjemne zimno tych łez na twarzy, ale odrętwienie w jakie zapadł nie

pozwoliło mu podnieść ręki. Szli obaj w milczeniu przez chwilę. Nagle kapral zaczął coś opowiadać. Udobruchał się już.

Ale kroczący za nim nie słyszał nic. Co kilka kroków stawał, obzierał się na siebie, potem zaczynał stawiać kroki wielkie, skakał niemal by dopędzić idącego przodem, a w duszy słyszał szept cichy, straszny, ciągły:

— To był on... Tak... to był on... on... on...

MĄKA.

Dzień był posępny, wietrzny. Lada chwila miał spaść deszcz. Przez ekran sklepowego okna handlu pana Franciszka Gomułki przesuwały się jak w kinie postacie, okryte gumowymi płaszczami. Rozdymał je wiatr i widać było przebłyskujące w przelocie krzywe, końcem ku przodowi zawieszone szable o mosiężnej gardzieli, szarpiące się w powietrzu rewersy ziemi — stobarwnych, fałdzistych kurtek polowych. Poddarte od przodu, talerzowate, podpięte świecącym znaczkiem furażki pochylały się przeciw wiatrowi. Damy usiłowały przytrzymać jedną ręką kawalera i gotowy do odlotu kapelusz, drugą zaś odplątać owiniętą dokoła nóg, wązką, cienką spódnicę, która nawet w zwykłych warunkach niebardzo pozwalała chodzić, teraz zaś zmieniła się dosłownie w pęta.

Konie kozackie z rozwianemi grzywami i ogonami dreptały, rozkraczywszy tylne, niepodkute, zmęczone śmiertelnie nogi, a na plecach jeźdźców powiewały, niby skrzydła, migdałowego koloru baszłyki. Płócienne pokrycia furgonów wzdymały się, jak balony, a wicher porywał skwapliwie z pod kół roztarty naciskiem ciężaru gliniasty pył i ciskał go z bezczelnym chichotem prosto w usta, oczy i uszy przechodniów.

Wiatr świstał, korzystając z każdej szczeliny, jakby na flecie jakieś dziwne, opętańcze melodye, gonił jak szalony łożyskiem ulicy, zataczał się w każdy załom muru i zakamarek i wyganiał stamtąd śmiecie, które, przerażone napaścią znienacka,

umykały coprędzej, ale pchnięte nowym prądem z przeciwnej strony dawały dęba, rzucały się w górę i kręciły się rozpacznie, nie wiedząc w którą lecieć stronę.

Czasem pole widzenia przysłaniała mgła szarej, nieprzejrzystej kurzawy, a na desce okiennej narastały zwolna małe kupki pyłu, podobne do zasp śnieżnych, lub wulkanów w krainie Liliputów.

Wnętrze sklepu było niemal ciemne. Szeregi przedmiotów jakichś w białym papierze na dolnych, a puszek z konserwami na wyższych pułkach połyskiwały tajemniczo na czarnem tle, niby front wojska po komendzie: baczność! front złożony zresztą z samego pospolitego ruszenia wartości drugorzędnej, gdyż tak zwany sztand i rezerwy, złożone ongiś z napitków przerozmaitych, zostały ukazem antialkoholicznym wzięte „w plen" i znikły z placu boju. Łaskę znalazły jeno wielkie haubice napełnione winem, tulące się do obitej blachą, ku większej paradzie i znaczniejszej trwałości, dolnej części brudnego, wysłużonego bufetu.

Za bufetem, ledwo widzialny tkwił w niepewnej omroczy właściciel handlu, pan Franciszek Gomułka, jak sam zawiadamiał świeżo poznanych, szlachcic polski herbu „Tromba", osoba znana powszechnie z wielkiej zacności, niedołęstwa, manji politykowania i zdecydowanej skłonności do wiśniówki z mocną. Był on jeszcze chorążym miejscowego Sokoła, ale o tej ostatniej godności nie mówiło się teraz dla pewności.

Przed bufetem stał pochylony z czapką nasuniętą na tył głowy sołdat w brudno-zielonym kitlu i pakował do wielkiego wora podawane mu ręką właściciela różnego formatu paczki. Pakował i liczył śpiewnym głosem:

— Adna... dwie... A czto eto? Ha? Da, da... eto sachar... toczno taks... try...

W kąciku, pod oknem gwarzyli o czemś nader ważnem, zbliżywszy głowy ku sobie, panowie: sekretarz magistratu, obecnie in partibus infidelium, albowiem przez „zwycięzców" odsu-

nięty od urzędowania... Teodor Cichaczek, oraz niegdyś weterynarz, obecnie zaś komisarz od hygieny w mieście, pan Anatol Rydzewski.

— Co to będzie! Co to będzie! — mówił z przerażeniem w głosie Cichaczek.

— Hm... hm... — odparł dyplomatycznie Rydzewski.

— Bo widzi, kochany doktór... albo się jest świnią... i wtedy wszystko w porządku... albo się nie jest świnią... Prawda?

— Oczywiście! Rzecz prosta! — przytakiwał.

— Cieszy mnie, że się rozumiemy, kochany doktorze! Więc do tego ciągnę...

— Ale po kiegoż licha wylepił po mieście te afisze?

— Bah... dobry pan sobie! Ha, ha, ha... To nie on! Nie on, drogi panie... nie on!

— Nie on? A któż?.. Ale powiedz mi pan, na miły Bóg, co on teraz pocznie!

— Nie on... powtarzam. To zrobił... przyjaciel... kolega... Rozumiesz pan?

— Ta kanalia... no zresztą mniejsza z tem. Ja nic nie wiem... nie wiem nic!

— Eee... wolne żarty, kochany doktorku!

— Ale skądże on ma na niego pik? O co mu idzie?

Sekretarz uśmiechnął się. Chwilę patrzył na Rydzewskiego z pod oka, potem wziął z blaszanej beczułeczki stojącej na stole kilka zapałek, i podsuwając je pod zwieszony posępnie nad górną wargą nos doktora od hygieny, rzekł:

— Inde irae! Rozumie pan?

— Rzecz prosta! — wykrzyknął w pierwszym impecie Rydzewski. Potem sięgnął po szklankę z winem, łyknął haust, podparł głowę na ręku, podumał i rzekł:

— Co pan sekretarz właściwie pod tem rozumie?

— Jakto co? — zdziwił się mocno zapytany. — Wszakże pokazałem panu!

— Ha, ha, ha... to paradne! — zaśmiał się nerwowo Rydzewski. — Wie pan sekretarz co, to paradne! Więc nawet dzisiaj, w tak ciężkich czasach nie zbywa panu na humorze. Zawsze pełen dowcipu! No, ale z tem wszystkiem chciałbym wiedzieć co to może znaczyć?

Sekretarz wytrzeszczył oczy. Przez chwilę patrzył zdumiony. Potem uspokoił się, uśmiechnął pod wąsem i, łyknąwszy wina, rzekł:

— A więc pan nie wiesz, kochany panie doktorze. Hm... hm... dziwne! Wie o tem przecież całe miasto. Ejże... nie wiesz pan?

— Nie zajmuję się cudzemi sprawami! — powiedział Rydzewski z miną bardzo niewinną i spuszczonemi oczyma.

Sekretarz podumał jeszcze chwilę, potem nastroił poważną minę i odparł:

— Słusznie... słusznie. Masz pan zupełną racyę, drogi panie. Dzisiaj najlepiej nie wiedzieć nic.

Popili obaj wina.

Nagle od strony bufetu rozległa się głośna rozmowa.

— A eto czto... dwadcat' rublej? Eto oczeń dorogo! Wot... pałuczi diesiat'!

— Co? Dziesięć? Czyś pan oszalał? — wołał poszkodowany właściciel. — Nu oddawaj!

— Niczewo padobnawo! Eto dlia kamandira. Nu... pałuczi dwienadcat'! Eto chwatit!

— Idź do czorta! Oddawaj towar! — domagał się pan Franciszek.

— Nu, ty mienia k czortu... Ty mierzawiec, ja tiebia siejczas k kamandiru!

— At psiadusza paskudna! — zwrócił się gospodarz do gości. — Patrzcieżno panowie!

Sekretarz kiwnął ręką na rozsierdzonego, który też zaraz podszedł ku siedzącym.

— Załatw pan z nim prędko... pogadamy. Rzecz bardzo ciekawa.

— Ba... jakże załatwić? Szelma daje połowę.

— Napisz mu pan szczot na dwadzieścia pięć rubli, a wypłaci zaraz dwadzieścia.

— Boję się trochę.

— Bagatela... bagatela... wszyscy tak robią. Załatw i przyjdź tu pan do nas.

Gospodarz odszedł i zaczęła się rozmowa z sołdatem w innym już tonie przez obie strony prowadzona. Sołdat wnet się udobruchał i począł wyciągać ze skórzanej harmonijki pomięte, brunatne papierki rublowe.

— Wracam tedy do rzeczy! — podjął sekretarz. — Jak pan wie, a może i tego pan nie wie drogi, kochany panie... co? Jak pan tedy wie, dawno, już temu kilka miesięcy, została skonfiskowana mąka w młynie Lajbfisza na rzecz miasta...

— Panie sekretarzu! Za co mnie pan ma? Przecież to jest rzecz wiadoma.

— Właśnie. Więc pan wie o tem, tem lepiej. Wie pan zatem, że zaraz wydrukowano afisze, w których oznajmiono ludności, że będzie się rozdawało biednym po 5 kilo mąki na głowę.

— Rzecz prosta. Wiem. Przecież należałem sam do komitetu.

— Prawda. A czemu komitet rozszedł się zaraz, a afisze do ostatnich dni leżały sobie na strychu na pociechę szczurom... wie pan dlaczego?

— Phi... tego nie wiem...

— Oto dlatego, drogi panie doktorze, że... ale sza... że doniesiono, jako z Rosji ma przyjść kilkanaście wagonów mąki dla biednych. Pojmujesz teraz pan?

— No... niby... ale to jest przypuszczenie...

— Przypuszczenie... tak? Nu da. Za to przypuszczenie teraz będzie tak:—

Pokazał palcem na gardło.

— Jezus Marya! Co pan mówi? — wykrzyknął Rydzewski.

— Nu da... tak mówię i tego się obawiam... bardzo się obawiam.

Gospodarz pożegnał się z żołnierzem i zbliżył do rozmawiających. Był wesoły, zacierał ręce.

— Ejże, panie Franciszku! Zacierasz pan ręce w chwili, kiedy przyjacielowi pańskiemu grozi coś bardzo, ale to bardzo niemiłego?

Pan Franciszek żachnął się.

— Co pan gada? Ha? Przyjacielowi? Nibyto chcesz pan powiedzieć, że prezes, to mój przyjaciel... Niczewo... tak niczewo! — uczynił ruch ręką w powietrzu.

Przysiadł się do rozmawiających i spytał:

— Skąd pan wie, że to mój przyjaciel? No, niby tak... dawniej... za spokojnych czasów...

— Nie sięgajmy czasów spokojnych. Niech się pan nie gniewa, ale...

Sekretarz wziął z baryłki znowu kilka zapałek i pokazał gospodarzowi, który popatrzył przez chwilę, potem nagle rzucił się, wstał i wrzasnął:

— A to co takiego? Co pan rozumiesz przez to?

— Na miłość boską, nie gniewaj się pan, drogi panie Franciszku! Wszakże teraz wojna. Pan jesteś przemysłowiec... rozumiesz pan, prze-my-sło-wiec! To rzecz zupełnie naturalna. Zupełnie zgodna z zasadami interesu... Zrozumże pan nareszcie.

— To było... całe konsorcyum... rozumiesz pan! Tak. Całe konsorcyum!

— Oczywiście! — uspakajał sekretarz. — Do wielkiego przedsięwzięcia tworzy się całe konsorcyum, bo wszakże jeden nie posiada tyle kapitału...

— Gdzie teraz o kapitał. Teraz... ot psiadusza... płaci

połowę... widział kto coś podobnego. I jeszcze te ruble, po trzy korony i trzydzieści trzy halerze... Strach!

— Tylko, że w tem konsorcyum nie było jednego pana... — mówił znów sekretarz.

— Uhum... rozumiem... jednego pana... który jest także przyjacielem prezesa. Rozumiem.

— Widzi pan, drogi doktorze, że pan Franciszek doskonale wszystko rozumie. Nie tak, jak pan... — powiedział sekretarz — encyklopedycznej wprost wiedzy człowiek.

— Hm... — odparł zaczepiony.

— Ho, ho, — pochwalił się pan Franciszek — ja wszystko wiem, tylko... cicho... sza... Wiem nawet, kto potem podpalił patyczkarnię... dalipan wiem!

— Nie mówmy o tem! — rzekł sekretarz jakoś przyciszonym głosem. — Nie mówmy, to jest rzecz niebezpieczna. I tak pana, panie Franciszku, posądzają o politykowanie, o konspiracyę...

— Mnie? O kompromitacyę? Kto to taki? Dalipan spierę juchę na kwaśne jabłko! Gadaj pan kto taki? Jestem człowiek inteligentny, ale zato... muszę sprać, jakiem szlachcic!

— Zostawmy to! — wyrzekł rozkazująco sekretarz. — Idzie teraz o coś całkiem innego. Mamy się zastanowić nad tem, co się właściwie stanie, jeśli zjedzie ekscelencya. Wiadomo wszystkim, że ma prezydować przy otwarciu bezpłatnej kuchni, otwarciu czytelni, szpitala dla cywilnych, rozdawnictwa mąki etc., etc. Tedy zastanówmy się co będzie, jeśli naprzykład wydarzy się, że tej mączki nie znajdą... ha?

— Hm... — powiedział Rydzewski.

— Uhum... — powtórzył Gomułka.

— No... co się stanie?

— Ale... kto u dyabła kazał rozlepić te przeklęte afisze?— zawołał nagle pan Franciszek.

— I pan powiadasz, że pan wiesz wszystko? — zauważył sekretarz.

Pan Franciszek zafrasował się nie na żarty.

— A toś mi pan dojechał... zdrowo dojechał... Dalipan, niewiem.

W tej chwili zadudniało na ulicy. Przed handel Gomułki zajechał powóz. Konie, zatrzymane nagle, aż przysiadły na zadach, a trzeci koń, jadącego za powozem kozaka, spiął się tak, że przednie jego kopyta przez chwilę zawisły nad tylnem siedzeniem, z którego zerwał się nizki, ciemno ubrany jegomość z cwikierem na nosie. Jegomość jednym susem wpadł do sklepu i biegł z wyciągniętą ręką ku siedzącym, którzy rzucili się jak jeden mąż witać przybyłego. Mówili wszyscy razem:

— Drogiego, kochanego prezesuńcia naszego... jakże nam miło!

— Ojca naszego... naszego opiekuna, dobrodzieja...

— Jakże zdrowie? Tyle pracy! Jakże panu sił wystarczy?

Prezes zrobił kwaśną minę. Zdjął kapelusz, oddycha ciężko.

— Padam, drodzy moi! Padam ze znużenia. Powiadam panom... no!

— Wiemy, wiemy! Historya miasta zapisze...

— A potem, po powrocie... naszych... orderek, niewątpliwie orderek, jakiem szlachcic! — wołał pan Franciszek.

— Cicho... Cicho na miłość boską, panie Franciszku! Rozwagi! Rozwagi!

Nerwowym ruchem poprawił cwikier na nosie.

— A może szklaneczkę... zaszczyt to dla mnie prawdziwy... — mówił gospodarz.

— I owszem, panie Franciszku... chociaż nie... Ja tutaj przybyłem właściwie do pana umyślnie w pewnej sprawie, ważnej sprawie. Może pan pozwoli na słówko... Ot tam!

Pociągnął go szybko za bufet, w najciemniejszy kąt sklepu, chwycił za ramiona i coś zaczął prędko szeptać.

Sekretarz przyłożył do ust szklankę z winem, ale nie pił,

tylko mrugał oczyma ku Rydzewskiemu, który rzucał mu spojrzenia z podełba i milczał.

Do sklepu weszła jakaś biednie ubrana kobieta z flaszką w ręku. Postała chwilę, a potem zaczęła pochrząkiwać niecierpliwie.

— Anteeek! — krzyknął gospodarz. — Anteeek! A gdzieżeś tam? Hej!

Na to wołanie wychylił się z ukrytych za szklaną szafką drzwi umorusany wyrostek i zaczął rozmawiać z kobietą.

— Jezus Marya! — zawołał nagle pan Franciszek z głębi sklepu.

— Cicho... ciiicho... — szepnął z przyciskiem burmistrz i dalej coś trzepał.

Kobieta wyszła.

Korzystając ze skrzypienia drzwi, sekretarz pochylił się przez stolik ku Rydzewskiemu i szepnął:

— Straszne rzeczy! Wszak mówiłem. Straszne rzeczy. I... dalibóg niewiem, kogoby tu obrać burmistrzem... Niema ludzi!

Rydzewski wstał i zaczął patrzeć w okno. Nie chciał być wspólnikiem żadnej ze stron, zwłaszcza w tak niezwykłych okolicznościach.

— Ależ jakie tam znów zebrania... — powiedział gospodarz jakimś dziwnie chrapliwym głosem.

— Ciiicho... ciiicho! — upominał burmistrz i gadał dalej.

Nareszcie konferencya skończyła się. Burmistrz, potrząsając ręką pana Franciszka, wyprowadził go z głębi sklepu i obaj stanęli przy stoliku.

— Może szklaneczkę? — zaproponował sekretarz. — Panie Franciszku, dawaj pan!

Gospodarz poszedł po naczynie. Idąc chwiał się na nogach.

— Papierosika! — ofiarował się Rydzewski.

— Dziękuję, palę swoje. Przepraszam, drogi panie, ale

z zasady palę swoje. Lubię bardzo mocne. To dziś dla mnie konieczne. Proszę, palcie panowie!

Podał papierosy. Tymczasem pan Franciszek wrócił z winem.

— Co panu jest, panie Franciszku! — wykrzyknął nagle Rydzewski. — Wyglądasz pan jakbyś wstał z grobu!

Burmistrz wypił i stawiając szklankę na stole powiedział:

— To nic, moi panowie. Nic. Jakoś to załatwimy, tylko...— dodał kiwając palcem — panie Franciszku na przyszłość proszę bardzo żadnych obrad, zgromadzeń, konspiracyi...

— Uhum... — mruknął niewyraźnie gospodarz.

— No... no panowie, jakośto będzie. Ten nowy prystaw, to powiadam panom świnia pierwszej klasy! No... nic jeszcze, na razie. Ach, żebyście panowie wiedzieli co ja mam! Niepojęta nadludzka praca. Od świtu mnie atakują. Tu władze, tam biedacy, tu jeszcze panie z komitetu, kuchni... Ot naprzykład, wywieźć mi chcieli na pozycye wszystko mięso z miasta. Więc lataj, biegaj, proś... Musiałem znowu ratować Wejsmana od nahajów. Przed godziną przylatuje do mnie doktór ze szpitala i woła: Panie, chorzy i dzieci giną z głodu! Ratuj pan! Co ja mam zrobić? Powiedzcie sami, co ja mam zrobić? Skąd ja wezmę... mówię mu. Mam w domu prywatnie kupiony worek mąki, bierz pan! Zabrał. Tu znowu uwięzieni zakładnicy żydowscy błagają: Zrób pan, aby nam pozwolono za kaucją wrócić do domu. Niepodobieństwo! Jakże mam to zrobić? A noc... powiadam wam budzą mnie co nocy. Wczoraj Siemionow przysyła żandarma o drugiej... powiadam, o drugiej w nocy. Myślałem: już po mnie! Gdzietam. Upiło się bractwo i chcieli mnie do kompanii. Musiałem pić do białego rana... Ledwo żyję... mówię wam, ledwo żyję!

Dopił wina i począł się żegnać:

— Do widzenia, moi panowie! Do widzenia! A pan, panie Franciszku — zwrócił się do gospodarza: — Silentium... Rozwaga... rozwaga!

Wybiegł ze sklepu, poprawiając niesforny cwikier. Wszyscy

odprowadzili go do drzwi. Usiadł, raz jeszcze poprawił cwikier, uchylił kapelusza i krzyknął na woźnicę-policyanta z trójbarwną przepaską na ramieniu:

— Nawracaj! — i wskazał ręką kierunek.

— Paaa! Do widzenia! — powiedział jeszcze i rzucił od ust całusa.

Konie ruszyły, prezes uśmiechnął się jeszcze do stojących, potem złożył nizki ukłon jakiemuś dostojnikowi, toczącemu się właśnie trotuarem i poleciał, a za nim poczłapał kozak na koniu.

Pozostali wrócili do wnętrza i przez czas jakiś patrzyli po sobie.

— To dobry człowiek! — odezwał się nareszcie Rydzewski.

Nikt mu nie odpowiedział.

Długą chwilę trwało milczenie. Gospodarz stał jak słup soli. Potem podniósł rękę do czoła i począł je trzeć, jakby chciał zniszczyć, usunąć jakąś przykrą, straszną myśl.

— Bufonuje. Boi się, więc bufonuje. Ale dobry człowiek... A może... może to nie prawda?

— Idźże pan... — ofuknął go sekretarz.

Gospodarz nie rzekł nic. Siadł ciężko na krześle i dalej tarł czoło.

— Co im się ubzdurało! — Jakie znowu obrady? — dziwił się Rydzewski.

— No, niby tego... — odparł sekretarz.

— Tak... tak... schodzicie się moi panowie,.. gadu, gadu... a teraz...

Gospodarz zaczynał mówić, ochłonąwszy nieco.

— I cóż teraz? Przecież pana nikt nie wiesza jeszcze!

— Jeszcze, powiadasz pan... dziękuję. Panie sekretarzu, myślałem, że mam w panu przyjaciela!

— Naturalnie, drogi panie Franciszku... naturalnie! Ale zapewniam pana...

W tej chwili zadzwoniły ostrogi. Drzwi wypełniły się

wyniosłą postacią w paliowym płaszczu z peleryną i jaskrawozielonej czapce o wielkim talerzu.

Gospodarz skulił się za bufetem, Rydzewski za plecami gościa przemknął ku otwartym drzwiom i wysunął się na ulicę. Wychodząc chyłkiem ujrzał, że gospodarz skrył się za oszkloną szafką i zniknął w drzwiach prowadzących na podwórze.

Wyszedłszy ze sklepu, Rydzewski omal że nie padł w objęcia samego gradonaczalnika Siemionowa, który we własnej osobie kroczył trotuarem, otoczony świtą. Zdołał jeszcze szybkim ruchem zerwać kapelusz z głowy i przycisnąć się do muru. Przetoczył się tuż obok wielki kłąb mundurów, czapek policyjnych i żandarmskich, granatowych i zielonych, dostrzegł też czerwone lampasy kozackie, migające z pod rozwianego wiatrem płaszcza. Za czeredą sunął niepewnym krokiem pop w ciemno-zielonej opończy z wielkim krzyżem na piersiach, a długie jego włosy targał wiatr.

— Źle jest! — pomyślał Rydzewski. — Trzeba zobaczyć gdzie te szelmy idą. Byle ostrożnie.

— Smirno! — zawrzasło coś tuż obok niego.

Ulicą przechodził oddział wojska z karabinami pod wodzą oficera. Na czele, w pierwszych szeregach kroczyło kilku żandarmów, łatwych do poznania po jasnych lederwerkach, czerwonych sznurach i jaskrawo-szafirowych czapkach.

— Źle jest! — powtórzył Rydzewski. — Jakaś egzekucya!

Szedł ulicą w znacznej odległości za dygnitarzami ze stanowczym zamiarem dowiedzenia się gdzie i poco idą. Ale niebawem z bocznej ulicy wpadł automobil i odciął go od grupy.

Zatrzymał się. Automobil był cały oszklony. Za nim sunął drugi, podobny, ale firanki były zapuszczone, a za tym jechał trzeci otwarty, pełen oficerów-adjutantów, znacznych białymi sznurami zwisającymi popod pachy. Za trzecim pojawił się czwarty, ciężarowy, okryty płótnem, a wreszcie piąty pełen kufrów, pośród których tkwiło kilku żołnierzy, zdaje się dieńszczyków.

— Może to ekscelencya? — przyszło na myśl Rydzewskiemu.

Automobile zatoczyły półkole i skierowały się w stronę, gdzie przemaszerował oddział wojska i przeszli dygnitarze.

— Więc nie egzekucya, — pomyślał. — To ekscelencya. Napewno ekscelencya! Zresztą coprawda, to to na jedno wychodzi... Na jedno dla niego. — I wzdrygnął się na tę myśl.— Tylko — snuł dalej — jakiś zanadto spokojny. Tedy zachodzi kwestya: wziął czy nie wziął? Jest mąka, czy niema mąki? Tak czy owak, musi się ją rozdać i to w oczach ekscelencyi! Psiakość!

Mrok wczesnego wieczoru jesiennego obsiadł już miasto. Zamigotały latarnie, okna rozjarzyły się światłem. Rydzewski pomyślał, że wartoby pójść zobaczyć, czy kwatera sztabu, gdzie stawali zazwyczaj dostojnicy, jest rzęsiście oświetlona, z czego możnaby wywnioskować, czy ekscelencya już przybył. Powiedział sobie tedy:

— Tak, trzeba zobaczyć!

— Hej doktorze! — ktoś go wołał.

Obejrzał się i zobaczył aptekarza, który biegł ku niemu z wyciągniętemi ramionami. Był zadyszany, uśmiechnięty, szczęśliwy. Dopadłszy Rydzewskiego począł mu ściskać bardzo mocno dłoń. Promieniał i rozpływał się z niezwyczajnej serdeczności.

— Co nowego? Co nowego? Gadajcież! — wołał.

— Hm... nic właściwie! — odpowiedział Rydzewski.

— Jakto? A ekscelencya, a kuchnie bezpłatne, a wielki fest, rozdawanie mąki... uważasz pan... rozdawanie mąki biednym...

— Hm... Ja nie będę na tym balu! — zauważył.

— Ale ja będę! Kochany panie... ja będę. Nie dałbym sobie odebrać tej przyjemności za nic w świecie! To, panie doktorze, jest dla mnie warte... sto rubli... dwieście... tysiąc!

Rydzewski osłupiał. Nie przypuszczał, by można się tak

głośno i szczerze radować z czyjejś biedy. Aptekarz gadał dalej, przyciskając sobie do piersi ramię towarzysza.

— Drogi panie. Ja wiem, że pan jesteś człowiek złoty, człowiek zapoznany, pełen dyskrecyi... Każdy pana okpiwa... wiadomo... każdy drab oskubać musi człowieka zacnego. Założyłbym się, że on pana okradł poprostu na tych zapałkach... Co? Prawda? Zgadłem!

— Co też pan mówi, panie aptekarzu? — oburzył się Rydzewski. — Nie wiem nic o żadnych zapałkach... kompletnie nic.

— Kom-plet-nie? — powtórzył z przyciskiem aptekarz. — No, więc dajmy temu spokój. Tak jest, dajmy spokój! W takim razie podzielili się na pół z wiadomym dygnitarzem.. choć nie, nie... Franio... pan Franio... coś oblizał... niema wątpliwości! No... no... już nic nie gadam. Nie skaczże mi pan zaraz do oczu! Nie masz racyi, drogi doktorze, że bronisz tę szajkę. Raczej powinienbyś sam o sobie pomyśleć. Dziś bardziej jeszcze jak kiedykolwiek indziej ma walor znana formułka: dum subera suberant... znasz pan to?

— Czy ekscelencya już jest? — spytał Rydzewski, chcąc rozmowie nadać inny kierunek.

— Nie wiem czy już jest, ale wiem napewno, że zjawić się ma lada dzień.

— Przed chwilą widziałem cały szereg automobilów, skręcających na Zamkową, gdzie kwatera sztabu.

— Co pan mówisz? To byłoby wspaniałe... rozkoszne! Chodźmy się dowiedzieć!

Rydzewski był zrozpaczony. Dałby niewiem co, byle go nie widziano z aptekarzem pod kwaterą sztabu i to właśnie w chwili, kiedy tam już może jest ekscelencya, a więc prawdopodobnie i burmistrz... Sam sobie piwa nawarzył nieoględnem odezwaniem się. To też próbował się wycofać.

— Pan aptekarz daruje, ale muszę w tej chwili do biura. Zresztą wszystko razem mnie nic a nic nie obchodzi.

— Ani mowy drogi panie! Złapałem pana i nie puszczę. Jakie tam znów biuro?.. po nocy? Kpiny drogi panie! Wszakże to synekura poprostu... ha, ha, ha! Wszakże pamięta pan, że to ja właściwie dałem panu tę synekurkę skromną. Ja, drogi doktorze. Biuro? Ej... kpisz pan chyba, wszak niema u nas jeszcze cholery i da Bóg nie będzie. Tedy idziemy razem. Ale do rzeczy. Nie widziałeś pan przypadkiem naszego kochanego prezesa? Co?

— Widziałem właśnie przed jakąś godziną — odparł Rydzewski niepewnym głosem.

— Taak? A gdzieżto... jeśli wolno... u niego w domu, czy może w biurze?

— W sklepie Gomułki.

— Przyjaciela... więc jeszcze odwiedza przyjaciół. Doskonale, ale panu, panie doktorze, nie radzę tam chodzić... nie radzę!

— Jakto?

— To człowiek... jakby powiedzieć... źle notowany... Zresztą, powiedzmy otwarcie... stracony... poprostu... już po nim!

— Co?

— Jest donos. Paskudny donos. Politykuje, robi zgromadzenia... uważasz pan, jakieś konfederacye, czy coś podobnego. Dalej... jest to przecież chorąży Sokoła... a teraz panie... teraz... niech Bóg broni! Zresztą ja mówię tylko dla pańskiego dobra, bo co do samego pana Franciszka, to... ja... nie wiem nic... kompletnie nic!

— Kom-plet-nie? Kompletnie nic?

— No tak, czego się pan tak dziwi. Kompletnie nic nie wiem... jakiem szlachcic! Wiem tylko, że jest donos i tyle.

— Więc należałoby go ostrzedz. Chodźmy tam!

— To nie moja rzecz... Ja ostrzegać... to paradne! Rozumiesz pan, jestem w radzie przybocznej, w bajracie... Nie mogę... To poprostu kompromituje! Ale wracając do rzeczy,

jakże tam nasz kochany prezes? Jak wygląda? Czy wesoły, jak zawsze? Nie czuje się zmęczony, przepracowany? Wczoraj pił jak szewc z Moskalami... to niełądnie... to poprostu jest coś takiego, że gdyby nasi przyszli... obawiałbym się... obawiałbym się bardzo...

— Nie widziałem zmian. Jest jak zazwyczaj. Całkiem normalny. Tylko mówił, że ma dużo pracy i ani chwili wolnej.

— Eee, tak się mówi. Na interesik znajdzie się zawsze chwileczka... Tedy mówisz pan... normalny... Ej, nie umiesz pan patrzyć na ludzi, drogi doktorze... on teraz normalny... to byłoby dziwne... nader dziwne.

— Dlaczego dziwne?

— No jakże... tyle pracy... czasy wyjątkowe. Ale jeśli jest, jak pan mówisz, to mnie bardzo cieszy... bardzo mnie cieszy.

— Pan aptekarz pozwoli, że się natychmiast udam do Gomułki!

— Cóżto pomoże, drogi panie... Zresztą dobrze. Dobrze idź pan. Jesteś szlachetny, to ci przynosi zaszczyt. Ostrzeż go tedy. Powiedz mu do ucha: aptekarz mnie przysyła, by pana ostrzedz. Ot tak będzie najlepiej...

Ciągnął go jednak dalej, nie pozwalając iść do Gomułki, aż pod samą kwaterę sztabu przy ulicy Zamkowej.

Wszystkie okna płonęły od świateł. Przed bramą stał rząd automobilów, a po drugiej stronie ulicy takiż rząd powozów. Straż trzymało dwu dragonów z dobytemi szablami.

Policya odcięła szeroki pas ulicy po obu stronach, tak że dostęp był niemożliwy. Mimo to tłum cisnął się po obu stronach kordonu.

Aptekarz nie posiadał się z radości. Pchał się między policyantów, roztrącał ludzi, chciał się koniecznie dostać do środka. Musiano go odpychać. Raz nawet dostał porządnego szturchańca. Nie zważał na to. Był w siódmem niebie.

— Więc jest! Jest! Doskonale! — powtarzał co chwila.

Nagle zamilkł. Ujrzał dwa łby końskie, powyz nich policyanta-furmana i znanego całemu miastu kozaka-satelitę.

— Przyjechał! On... przyjechał! Odważył się!

Ale wnet się pocieszył.

— Musiał. Widzi kochany pan... musiał. Dałbym teraz tysiąc rubli, byle zobaczyć jego minę.

Rydzewski nie mógł dłużej wytrzymać, Korzystając z ciżby, odsunął się nieco w tył. Cofnął się jeszcze krok... dwa... i skręciwszy nagle, odszedł w kierunku przeciwnym.

Kroczył śpiesznie. Byłby biegł, gdyby nie obawa, że zwróci na siebie uwagę.

Ulice tego wieczora były jakoś ludniejsze jak zazwyczaj. Ale widniały przeważnie mundury. Cywile nie wychylali się chętnie, toteż tonęli wśród ciżby wojska. Żydków nie było ani na lekarstwo.

Środkiem ulic kroczyły oddziały piesze i konne. Co chwila rozlegała się komenda:

— Smirno!

Z okien wywieszano pośpiesznie trójbarwne flagi, w której to czynności prim dzierżyły domy żydowskie. Gdzieniegdzie gorliwsi powtykali do ziemniaków świeczki i urządzili iluminacyę, chociaż nie była ona oficyalnie nakazaną.

Ekscelencya przybył trochę niespodziewanie, bo oczekiwano go dopiero za dni kilka. Stało się to wbrew przyjętym zwyczajom, i tem więcej intrygowało.

Wiatr teraz ustał. Chorągwie wisiały ciche, senne, rzucając po ścianach długie pasy cieniów. Latarnie jaskrawiły się po płaszczyznach kamienic, nie docierając jednak światłem do zaułków, ogrodów, załomów muru i głębokich podwórz, gdzie tail się mrok, niepewność, może nawet strach, albo wyczekiwanie, co też to wszystko przyniesie, czego jest objawem. Ludzie siedzieli ukryci, przykucnięci po zaułkach, jako te cienie czarne, niepewni dnia ni godziny... gdzieś głęboko zatajeni...

Mżył drobny, smutny deszczyk.

Rydzewski szedł coraz prędzej.

Nagle stanął. Nie mógł się zoryentować gdzie jest. Jakto? Wszakże gdzieś tutaj powinien być handel Gomułki. Od długich lat wisiała nad drzwiami okrągła, matową banią ujęta lampa gazowa z napisem. Gdzież się nagle podziała? Rozglądał się po domach i sądząc, że przeszedł za daleko, wrócił się z powrotem. Nagle dostrzegł dobrze sobie znany szyld, dzisiaj zaledwo widoczny, gdyż latarni ulicznej nie było w pobliżu. Nad szyldem wisiała jak dawniej biała bania, ale wyglądała dziś całkiem inaczej jak zawsze. Zgasła. Umarła. Żaluzje sklepu spuszczone były, przeto musiał iść bocznem wejściem przez bramę. Wszedł, mając już świadomość nieszczęścia, ale to, co ujrzał zmroziło mu krew w żyłach.

Wewnątrz świeciło się. Na środku sklepu stał Antek i rozglądał się łakomie po półkach, już zresztą napoły opróżnionych. Jakiś dziwny uśmiech rozjaśniał jego głupkowatą twarz. Otwarł usta i wyszczerzył zęby. Był widocznie zupełnie pijany. Po podłodze walały się paczki, beczułki, leżały pomięte, skopane papiery i połamane pudełka, oraz kilka flaszek rozbitych. Widniała także wielka, ciemna plama jakiejś rozlanej cieczy.

— Co to jest? — spytał ostro Rydzewski. — Co to wszystko znaczy?

Antek wybałuszył oczy i przybrał pozycję wojskową. Ale chwiał się na nogach.

— Gadasz, czy nie! Natychmiast idę po żandarmeryę, złodzieju jakiś!

— Żandarmeryę. Ona już tu była i zaraz przyjdzie... ha, ha, ha...

— Gdzie pan?

— Pan? aha... pan? Ano... niewiadomo...

— Gdzie jest, pytam?

— Ja rozumiem, że pan pyta... ja także pytam wielmożnego pana, gdzie jest pan. Aha... pewnie, myślę będzie w kryminale. Ale niewiadomo.

— Któż go zabrał?

— Ano przecież żandarmi. Wzięli także kasę...

— A kto tu rabował?

— Żandarmi. Ale powiedzieli, że to kazionne i ja nie mogę nic zabrać. Ja za wszystko odpowiedzialny. Ja czynownik teraz... Ale niewiadomo...

Rydzewski stał przez chwilę osłupiały. Takiego piorunującego upadku nie widział dotąd. Wyglądało, jakby nagłe trzęsienie ziemi pochłonęło jedną, jedyną egzystencyę ludzką, podczas kiedy wszystko naokół ani drgnęło, nawet nie wiedząc wcale o katastrofie tuż obok, za ścianą.

Spojrzał raz jeszcze naokoło, pożegnał ostatniem westchnieniem te znane zdawna, obojętne zawsze, dziś jednak bardzo sympatyczne kąty, nacisnął kapelusz na oczy i wyszedł.

Koniecznem było dowiedzieć się czegoś bliższego, zaco Gomułkę zamknięto i gdzie siedzi.

Jedynym człowiekiem, który mógł coś wiedzieć, o ile nie uciekł w krytycznej chwili, był sekretarz. Ale gdzie go znaleźć? Wieczory spędzał także u Gomułki.

— Może jest u Buraczka! — pomyślał Rydzewski i ruszył w stronę cukierni. Po drodze nabrał niewątpliwego przekonania, że sekretarz jest napewno w cukierni, przeto dążył tam jak mógł najśpieszniej.

Właśnie, gdy miał przeciąć ulicę, natknął się na jakiś korowód, którego nie spostrzegł, idąc ze spuszczoną głową.

Otoczeni sołdatami szli w zwartej kolumnie cywile. Tu i owdzie miał któryś ręce skrępowane na plecach, a sznur łączył go z drugim, idącym w następnym szeregu. Żydzi, w czarnych chałatach i futrzanych czapach, widocznie wzięci wprost z synagogi, stąpali jakimś dziwnym hieratycznym, sztywnym krokiem, jakim idzie skazaniec pod topór. Szli ze zwieszonemi głowami, a twarze ich były tak blade, że nawet wśród oświetlonej tylko napoły ulicy, błyszczały upiornie, strasznie.

— Nu, skariej... — zawrzasnął jeden ze sołdatów i nahaj spadł z głuchym łoskotem na plecy najbliższego.

Za chwilę wzięci do szańców zniknęli w ciemności, ulica była już wolna, ale Rydzewski stał jeszcze czas jakiś nie mogąc się opamiętać. Machinalnie grzebał w kieszeni, gdzie miał swój „propusk", który go bronił przed branką do robót przeciw własnej armii skierowanych. Jednocześnie po głowie chodziła mu ta głupia afera z zapałkami. Nie zarobił nic. Namęczył się tylko, wożąc towar cichaczem po nocy gdzieś daleko. Był zrozpaczony. Nie mógł pojąć w jaki sposób dał się użyć do czegoś podobnego i wydawało mu się teraz, że jest już na wieki napiętnowany... że przepadł z kretesem.

Co tu robić? Co tu robić? — myślał bez przestanku.

Ani wiedział jak się znalazł u Buraczka. Lokal był przepełniony. Galowe mundury cisnęły się po wszystkich kątach, świeciły szlify, z których dziś zdjęto sukienne, polowe, szare pokrowczyki. Pomiędzy krzesła z trudem przeciskali się chłopcy roznoszący kawę, herbatę, wino i ciastka. W głębi, na tle luster widniały czarno przybrane postaci muzykantów. Orkiestra składała się teraz z inteligentów-dyletantów, ongiś urzędników i to wysokiej dosyć rangi. Chwycili się oni tego zarobku, aby nie zginąć z głodu czasu niedoli i odcięcia od państwowego żłobka. Ratowało to jeszcze jako tako, a było lepszem zajęciem od wielu innych.

Właśnie grano z zacięciem coś niezmiernie hałaśliwego.

Rydzewski stał przez chwilę, szukając oczyma sekretarza, ale jakoś nie mógł go nigdzie odkryć. Nagle siedzący w pobliżu fryzyer Machinko począł sykać i dawać znaki ręką. Teraz był to pan całą gębą. Zarabiał od gości tyle w rublach, ile dawniej w koronach, ku czemu przystosował swoją taksę.

Rydzewski nie widział go, przeto zacny golibroda, mający słabość do tego gościa, złożył w lejek dłonie i przyłożywszy je do ust wydał rodzaj trąbienia.

Rydzewski obejrzał się. Wtedy Machinko zaczął wołać:

— Doktorze! Doktorze! — i wskazał miejsce obok siebie.

Bieda zrównała do reszty zatarte już przed wojną skutkiem wspólnych przejść różnice klasowe. Zresztą Rydzewski nigdy nie dął się, przeto powitał Machinkę wesołym uśmiechem, przecisnął się ku niemu i siadając obok niezwłocznie spytał:

— Nie był tu Cichaczek?

— Był. Wszedł, obejrzał się wokoło i poleciał. Nie wiadomo co mu się stało. Przecież dziś muzyka gra... nie pojmuję doprawdy! Chyba że wylazła ta sprawa fortepianów. Jeśli tak... to proszę siadać... Nie zazdroszczę.

— Wiesz pan? Gomułko pod kluczem! — zawiadomił go Rydzewski z miejsca.

— Jezus! Marya! — wrzasnął wrażliwy Machinko.

— Cicho... nie rób pan skandalu! — upomniał go.

Potem mówił dalej z żalem:

— Nie mam pojęcia, jakby mu tu pomódz. Nie wiem nawet gdzie go zaprowadzono. Sklep zrabowany.

— Ojoj! Co za szkoda! — zapiszczał Machinko. — Byłeś pan tam, panie doktorze? Możeby się dało jeszcze coś uratować?..

Rydzewski machnął ręką.

— No... kiedy tak, kiedy pan nie mogłeś nic uratować... to już przepadło. Niema co. Chciałem lecieć. Tyle wina... mój Boże! Tyle wina.

Nagle muzyka grać przestała. I zaraz buchnął rozgwar nie tłumiony już wrzaskiem instrumentów. Rozległy się wołania:

— Kawa tu!

— Kofe... siejczas kofe!

— Nu, skariej!

— Adin kańjak dlia mienia!

— Paszoł won, durak...

— Pożałujsta barysznia... pożałujsta... izwinitie...

— Płacić! Płacić!

Dym zbił się pod nizkim stropem w gęstą chmurę. Wisiał dosłownie w festonach ciężkich tak, że malatury sufitu znikły zupełnie z przed oczu patrzącego.

— Szampanskoje jest'? — wrzasnął ktoś z tłumu.

— Toczno taks! — odkrzyknął skryty gdzieś w głębi lokalu właściciel.

— Tak dawaj siuda! skariej!

Muzyka zagrała coś przeraźliwego, coś co przypominało czeską hulacką piosenkę w guście: „Chytiliśmy łososa". Trąbki darły się rozpaczliwie, głusząc ochrypłe skrzypce, beczał klarnet, dźwięczały czynele, ryczał bas...

Rydzewski mrugał powiekami, otwierał usta, jak ryba na piasku. Nie miał czem oddychać.

— Ależ tu niema całkiem tlenu! — rzekł z przekonaniem i zaczął kaszlać głucho.

— Słuszna uwaga łaskawego doktora. Zupełnie słuszna... a mówią: lokal pierwszorzędny. Chociaż trudno. Taki czas... Dziś się trzeba bez niejednego obejść...

— Płacić! — zawołał nagle Rydzewski.

— Ależ pan jeszcze dotąd nic nie miał, łaskawy doktorze! — zauważył fryzyer.

— A prawda! — spostrzegł się doktór. — Ale jakoś nie mam na nic ochoty. Szukałem Cichaczka.

— Właśnie jest! — wykrzyknął z radością golibroda. — Stoi ot tam, we drzwiach i kłania się komuś... A, to pan prezes! We własnej osobie... i w dodatku we fraku. Proszę! Proszę! Jest jeszcze ktoś. Rety, wszak to aptekarz... Idą razem... To coś dziwnego, nigdy nie chodzą razem. A to ci szopa...

Krzyknął głośno i zaraz palnął się pięścią w usta.

Prezes stał w drzwiach i składał wokół ukłony. Otwarta zarzutka pozwalała widzieć biały krawat i nizko wyciętą kamizelkę, z której wypływał przeczysty gors koszuli.

Machinko zamienił się w jakiś dziwaczny semafor o skom-

plikowanej i rozległej sferze ruchów. Dawał znaki, wskazywał na swoje miejsce, na Rydzewskiego, na jakieś wolne przypadkowo krzesło obok i wreszcie zwyciężył. Grupa dygnitarzy poczęła sobie torować drogę w tym kierunku, zaś golibroda rzucił się w sam środek tłumu celem zdobycia jeszcze jednego krzesła.

— Fotel dla pana prezesa! — wołał w kierunku bufetu.

— Już się robi! — odkrzyknął któryś z chłopców.

Machinko poprzysiągł sobie, że uszy niesfornego malca zostaną w jego rękach i ruszył ku miejscu skąd głos wyszedł.

Nareszcie prezes i aptekarz siedzieli. Prezes poważny był ale pogodny. Z godnością, powolnym, stylizowanym ruchem poprawił ćwikier i zaczął złotym pierścionkiem pukać w stolik, Aptekarz siedział cichy, oniemiały, nie przestawał jednakże świdrować oczami swego zwierzchnika z magistratu, a zarazem kolegę. Był czemś niezmiernie zdziwiony, zaskoczony, ale czatował jak myśliwy na zwierza, na każdą minę prezesa, nie dając za wygranę.

— Eee, nie dowoła się dziś człowiek — powiedział prezes.

— Przyniosę. Co pan prezes pozwoli? — pośpieszył sekretarz.

— A no... zaraz... raz, dwa, trzy, cztery koniaki, jeśli pan łaskaw i... za jednym zachodem... tak, ze dwie flaszki wina reńskiego. Chociaż nie, nie... lepiej niech da to moje Bordeaux z zieloną etykietą... wie pan? Bardzo dziękuję kochanemu sekretarzowi... i przepraszam, ale rzeczywiście...

— Bagatela, bagatela, łaskawy panie prezesie dobrodzieju! Zaraz zdobędę! — zapewniał sekretarz i ruszył w kierunku bufetu.

Prezes podniósł głowę do góry. Obojętnem spojrzeniem objął tłum, potem okraszając nadobnym uśmiechem okrągłą twarz swoją, rzekł zwracając się do aptekarza:

— A co, panie kolego, mieliśmy dzisiaj szwic?

Aptekarz zacisnął usta. Wlepił bystre spojrzenie w przeciwnika i milczał.

— Przyznaję, że miałem niejaką tremę — ciągnął dalej prezes. — Bo wyobraźcie sobie, moi panowie, ktoś.., — tu zerknął ku aptekarzowi — ktoś, bez mojej wiedzy, gdy byłem zajęty czem innem, kazał parę dni temu rozlepić afisze z doniesieniem o rozdawnictwie mąki. Ja... dalipan dawno zapomniałem o tej całej mące. To już tak dawno, jakieśmy ją zabrali na rzecz magistratu w młynie Lejbfisza. Nie wiedziałem czy jest, czy jej niema,.. człowiek ma przecież tyle na głowie. Ale afisze są, ekscelencya ma przybyć, więc niema rady. Tedy Siemionow powiada mi, że skoro ekscelencya przybędzie, ma się to wszystko odbyć bardzo uroczyście, ma mieć mowę i tak dalej i tak dalej. Każe mi się bestya tej mowy uczyć. Nie było mi to bardzo na rękę... ale pal sześć, myślę sobie, chcesz mowy, będzie mowa... Aaaa, bardzo dziękuję, kochany panie sekretarzu... bardzo...

Właśnie do stolika dopłynął szczęśliwie Cichaczek. Unosił ponad głową tacę z kieliszkami, a w drugiej ręce niósł flaszkę.

Aptekarza coś wyrzuciło w górę. Podskoczył i opadł na krzesło ciężko oddychając, ale nie otworzył ust.

— Służę! Służę! — mówił sekretarz. — Nie było czasu ponalewać, więc dla pewności wziąłem z flaszką.

Ponalewał i usiadł na podsuniętym krześle przez usłużnego golibrodę, który świadom dobrego tonu oddalił się dyskretnie, nie odszedł jednak daleko, nie tracąc widać nadziei, że zostanie zaproszony.

Prezes ujął kieliszek i zwracając się do aptekarza, który patrzył weń szklanemi oczyma rzekł:

— W ręce kochanego kolegi!

Aptekarz ujął drżącą ręką swój kieliszek i podniósł do ust, ale zatrzymał w połowie drogi. Nie mógł się opamiętać

i dopiero uczuwszy na sobie pytające spojrzenie prezesa przechylił dnem do góry.

— Niezły! — powiedział prezes cmokając wargami.

— I cóż dalej! Co dalej? — naglił Rydzewski. — Słuchamy kochanego prezesa.

Aptekarz rzucił mu zabójcze spojrzenie, prezes zaś uśmiechnąwszy się ciągnął dalej.

— A propos, kochany sekretarzu, racz pan nalać! Tedy panowie moi... na czemże to stanąłem? Aha! Miałem się tedy uczyć mowy... już nawet zacząłem. W tem nagle... bęc! Jak grom z jasnego nieba spada ekscelencya. Wojskowość widać miała pik na Siemionowa i chciała go trochę skompromitować, tedy w ostatniej chwili dopiero przyszło zawiadomienie. Ledwo miał się czas ubrać. To paradne. Chłop poprostu szalał z pasyi. Posyła po mnie. Jest mowa? Nu... da... a... będzie. Muka jest? pyta dla ostrożności. Bo to w Rosyi rozmaicie bywa, a to bestya wytrawna... ho, ho... Ja powiadam: a czort tam znajet! Tedy on galop pchnął kozaka mojego do młyna. Uczę się mowy jak sztubak, gdy w tem nagle kozak przylatuje i powiada:

— Muki niet!

— Trzeba to było widzieć... moi panowie, kto tego nie widział, ten...

Zamilkł. Podniósł kieliszek i patrzył pod światło na złoty płyn.

Całe towarzystwo zamarło w oczekiwaniu. Aptekarz otworzył usta, rozczapierzył palce rąk i zdawało się, że nie wytrzyma i rzuci się lada chwila na prezesa.

Prezes wytrzymawszy pauzę retoryczną, zwrócił się z uśmiechem do aptekarza, który natychmiast odwrócił głowę i opowiadał dalej.

— Trzeba wiedzieć, kochany kolego, że właśnie dziś... przed godziną może... wzięto, nie wiadomo z jakiego po-

powodu tego biedaka Gomułkę. Jeszcze przed trzema godzinami byłem u niego osobiście. Ci panowie widzieli... prawda? Tak. Przychodzę i mówię: Chłopie, jakaś kanalia... kanalia powiadam... jeden z naszych miastowych ludzi... pono nawet z inteligencyi zrobił na ciebie donos. Wie ta kanalia, że cię kocham, tedy właśnie uczyniła to świństwo. Tak. O co idzie, nie wiem dobrze, ale pono politykujesz, sprowadzasz ludzi, robisz jakieś zebrania... nie wiem zresztą, ale ostrzegam cię!

Przerwał, nalał sobie i innym i rzekł:

— Pijcież panowie kochani. Proszę bardzo!

Wszyscy wypili. Aptekarz przechylił swój kieliszek ruchem nagłym i trzasnął nim w stół, że mało nie pękł.

— At kanalia! — wrzasnął na całe gardło, niewiadomo dobrze pod czyim adresem.

— Święte słowo kochanego kolegi — przytwierdził prezes.

Aptekarz wydał jakiś jęk nieokreślony, rzucił się na krześle i wykrzyknął:

— Ale cóż to ma jedno do drugiego. Te konszachty Gomułki... i ta mąka?

— Otóż to właśnie! — rzekł prezes uroczyście i podniósł palec do góry.

Wszyscy nastawili uszu. Aptekarz oparł się ciężko o poręcz krzesła. Siedział jakby czekał na cios maczugi. Ale głowę wychylił naprzód i zebrał całą uwagę.

— Otóż to — powtórzył prezes. — Dowiedziałem się, powiedziano mi to urzędownie, że właśnie afera biednego Gomułki ma za bezpośredni powód owo tajemnicze zniknięcie mąki!

Wszyscy zdębieli. Spoglądali po sobie w milczeniu. Aptekarz zwisł na krześle i siedział przełamany, jak nieboszczyk z zamkniętemi oczyma. Przestał oddychać.

— Możecie sobie tedy wyobrazić kochani panowie — kończył prezes — że dziś miałem szwic nielada, bo musieliśmy

rzecz całą jakoś inaczej urządzić. Ale jedno pozostało mi w zysku... jedno i to ważne...

Aptekarz milczał, nie mógł się już nawet zdobyć na złośliwość.

— Jedno tedy zostało mi w zysku, kochany kolego, aptekarzu, mianowicie to, że już nie potrzebuję się uczyć tej przeklętej mowy... ha, ha, ha... a to zysk nielada.

TEMPORE BELLI.

Jesienny wiatr szemrał w suchem listowiu starych dębów, chylących sękate konary nad dachem wiejskiego dworu. Po niebie słaniały się chmury, ruchem znamionującym wyczerpanie, jakby były resztką wymęczonej w straszliwej bitwie armii, niedobitkami oddziałów, co rozstrzelone po bezmiernym obszarze wloką swe ciała napoły jeno jeszcze będące mieszkaniem dusz, które wychylają się na zewnątrz, żądne ujść jaknajprędzej tam, gdzie niema szarpaniny życia, ni musu czynów, po których drży serce i mdleje rozum.

Pełzały poprzez tarczę słońca, a ono prześwietlało je i złociło ich kontury. Szły w jedną stronę, dążyły gdzieś, na kwaterę nieznaną, daleką, przeczuwaną jeno... na spoczynek, którego może niema wcale. Pchał je tensam wiatr-mus, który popycha wszystko inne na niebie i na ziemi, tensam, który pędzonej bezdrożem kolącego ścierniska ludzkiej istocie podszeptuje szyderczo pochlebstwa, tak, że omamiona powiada sobie: Idę, bo chcę iść — a zapomina, że musi.

Chwilami odsłaniały się nieumiarowe płaty, jaskrawym szafirem świecącego nieba i sama tarcz słońca, wieczyście pogodnego, którego niepojęty spokój dlatego może tak olbrzymi, że daleki.

Wówczas potrzaskany, olbrzymiemi dziurami poplamiony, czerwony, blaszany dach opływała fala miedzianej poświaty,

a napotkawszy czarny krater wybitej pociskiem rany, rzucała się w nią kaskadą, spadała siklawą na rozniesione w chaos niepojęty i dziwaczny belkowanie, rozpryskiwała się po zrujnowanym strychu i otworami w sufitach spływała do komnat i kurytarzy, w fantastycznych odskokach rzucając się po ścianach, posadzkach, wpadając we wszystkie kąty i zakamarki.

Jesienny wiatr płynął przez otwory wydartych z ramami okien do wnętrza, zwiedzał pustać, przewiewał z jednego kąta w drugi lotne świstki poszarpanego papieru, oglądał, obracając na wszystkie strony, strzępy portyer i zwisające ze ścian łachmany szafirowego, w srebrne bukiety obicia... czynił przegląd inwentarza nędzy, która tutaj sobie założyła osiedle, na gruzach spokoju i ciszy.

Jesienny wiatr pojękiwał żałośnie w kominie sterczącym wysoko ponad dach opadły, przykucnięty na krokwiach, jak trup człeka, który nie padł konając, i długim przewodem jego wpadał na ruszt marmurowego, w bronzową, rzeźbioną w akanty ramę ujętego kominka, zdmuchując zeń starannie resztki popiołu. Wreszcie, obiegłszy wszystkie kąty, wracał i delikatnie, ze strachem ruszał kartkami książki, trzymanej w ręku przez sztabs-kapitana Erazimowa, który leżał na wspaniałej, krytej prawdziwym gobelinem, poszarpanej ostrogami otomanie.

Sztabs-kapitan Georgij Pietrowicz Erazimow, ozdobiony medalem „za chrabrost'", czytał z wielkim mozołem polską książkę, sylabizując półgłosem.

Przy otomanie, na ziemi leżała cała ich sterta. Rozrzucone, pootwierane, skarżyły się, jak pobite ofiary niebu się skarżą otwartemi oczyma, — cytatami wierszy i fragmentami prozy, wielkiej girlandzie szafirowych, barokowo malowanych niezabudek na plafonie zakopconym, świecącym wielkiemi plamami odpadłej wyprawy... to znów spały, jak śpi zabity, twarzą do ziemi, rzuciwszy białe karty czerpanego papieru na pokrytą skorupą zeschłego błota, brzostową, wzorzystą posadzkę.

Erazimow co chwila ciskał ruchem zniechęcenia jedną książkę, brał, nie podnosząc się wcale, drugą z kupy leżących przy nim, i po kilku minutach odrzucał ją znowu.

Oparte o ścianę stało wielkie, w dolnej części strzaskane zwierciadło ujęte w wenecką, z drobnych, połyskliwych lameli złożoną ramę. Od czasu do czasu Erazimow rzucał w nie długie, badawcze spojrzenie.

Niewiadomo, czy przyglądał się samej swej osobie, przybranej w migdałowy, jedwabny uniform i jaskrawo seledynowe spodnie, czy podziwiał odblask nieprawdopodobnie pięknie wyczyszczonych butów palonych, po każdem atoli spojrzeniu wzdychał, a westchnieniu temu towarzyszyło coś w rodzaju ziewnięcia.

Pod ścianami stały różnej wielkości kufry i kuferki, pośród nich zaś marmurowa, na bronzowych, rzeźbionych nogach oparta, przez sam środek płyty pęknięta umywalnia, obstawiona mnóstwem flaszek i flaszeczek, oraz najprzeróżniejszymi przyrządami i przyborami toaletowymi.

W powietrzu, mimo ustawicznego przewiewu wiatru, trwała niewzruszenie duszna, mdląca woń dziegciu i bzowych perfum.

Ciszę przerywało tylko pomrukiwanie sylabizujące fatalną polszczyzną oficera i pogwizd wiatru.

Naraz, gdzieś niedaleko zadzwoniły kopyta końskie. Tętent urwał się nagle.

— A to ten sukinsyn Nikołaj! — powiedział do siebie głośno Erazimow. — Nu da!

Ciekawy był, co też mogła dzisiaj przynieść poczta. Ale ciekawość ta nie musiała być zbyt intensywna, gdyż Erazimow nie ruszył się wcale, ale trwał dalej w bezruchu.

Słuchał. W kredensie, obok zastukały tymczasem obcasy i rozbrzmiała rozmowa.

Czekał tak chwilę, wreszcie warknął:

— Wot sukinsyn! Rozmawia zamiast przynieść. Ogarnęła go nagle pasya.

Począł grzbietem trzymanej w ręku książki stukać co sił w podłogę.

Rozmowa natychmiast ucichła i zaraz wszedł do pokoju młody, zgrabny, smukły kozak. Przez plecy miał przewieszoną wielką, czarną torbę. Stał u drzwi z dłonią przy czapie.

— Dawaj! — krzyknął popędliwie sztabs-kapitan.

Kozak przyklęknął u otomany, a on wyjął z torby całą paczkę listów rozmaitego formatu i barwy.

Zważył je w dłoni, potem wysypał na książki, położył się wygodniej i zaczął przeglądać jeden po drugim. Niektóre otwierał, inne rzucał napowrót. Nagle usiadł i trzymając w ręku wielki, ordynarny papier rozkazał:

— Nikołaj!

— Słuszajuś wasze wysokobłagorodje!

— Siejczas łóżko... pościel... szafa... nu da... i... umywalnia... tam... do biblioteki. A pozatykaj dziury. Przyjeżdża pan praporszczyk Joann Nikoforowicz Schneege... poniał?

— Tak tocznos, wasze...

— Schneege... praporszczyk...

Słuszajuś wasze...

— Paszoł won!

Kozak znikł jak widmo.

— Skąd on wytrzaśnie te rzeczy...—pomyślał Erazimow— Czort pabieri—zakonkludował głośno i położył się znowu, starając się odnaleźć poprzednią, niezmiernie wygodną pozycyę.

Ale jakoś nie szło, tedy rozjuszył się na seryo.

— Schneege!—myślał—Schneege! Wot Germaniec! Trzebaby już raz nakoniec wyzbyć się z armii wszystkich tych Germanców. To nasze nieszczęście prawdziwe.

Leżał czas jakiś. Wreszcie uspokoił się i rzekł do siebie:

— Ostatecznie... niewiadomo ile zostałoby w takim razie oficerów do służby we froncie... Wot bieda. Ale, poco on tutaj przyjeżdża właściwie? Mnie pomagać? Ha, ha, ha...

pamosznik! Phii... niech będzie. Prędzej dostanę urlop... na oddych. Chociaż nie... nie chcę urlopu... nie!

Erazimow westchnął, spojrzał znowu w zwierciadło, i wziąwszy porzuconą książkę rozpoczął znowu z mozołem sylabizować.

Z za ściany dochodził półgłos przyciszonej rozmowy. Było to raczej napoły śpiewane opowiadanie, z rzadka przerywane wykrzykami zdziwienia.

W „kredensie", z którego pozostało teraz już tylko kilka nadrąbanych, pustych szaf i koziołek z rowkiem na dole, oraz poprzeczką w górze, służący ongi do czyszczenia noży stołowych, siedzieli dwaj dieńszczyki, tłusty, utykający nieco na lewą nogę, obstarni już i wiecznie spocony i zaspany Wielkorus, Trofim, oraz przybyły właśnie, młodziutki Ukrainiec, śmigły jak panienka, ubrany w szarą bekieszę, przepasany wązkim paskiem, w którym tkwiły wielkie srebrne guzy, piastujący teraz na kolanach srebrem nabijany, nieodstępny kindżał.

Trofim siedział na wielkiej, czerwonej, nastrzępionej, jak sowa kanapie, ongi jedwabnej. Siedział zapadłszy się głęboko i poprawiał ustawicznie. Widocznie dolegały mu połamane sprężyny. Kozak przykucnął na zydelku własnej fabrykacyi, o nogach mahoniowych, zapożyczonych widocznie z jakiegoś mebla.

Rozmawiali. Kozak opowiadał, co usłyszał w mieście. Zawodzącym, śpiewnym głosem snuł nieskończoną, zdało się, opowieść, zaś Trofim z wyciągniętą szyją i nastawionemi uszami dziwił się ciągle temu, co słyszał. Opowieść przerażała go widocznie, gdyż w oczach miał strach, a krople potu lśniły na wypukłem, wychylającem się z pod zasuniętej na tył głowy furażki, umorusanem czole.

Okno kredensu wychodziło na front, spoglądało na szeroki podjazd pusty teraz i zarośnięty zmierzwionem, napoły już zeschłem zielskiem. Przez okno widać jeszcze było szmat gazonu i grupę wyniosłych, rozchwianych we wietrze topoli.

Pośród nich widniała rozwalona pusta psia buda, nakryta fantastycznie w górę przekrzywionym, na czerwono niegdyś malowanym, blaszanym daszkiem. Po gazonie chodziły dwa konie, wlokąc za sobą długie sznury. Chodziły i wyskubywały kosmyki trawy, wydzierając je z trudem ze skopanego, zwichrzonego gruntu, na którym walały się zielone słupki, podtrzymujące dawniej pnie róż sztamowych, dalej leżały rozgniecione puszki konserwowe i resztki niepoznawalnych już dzisiaj najrozmaitszych przedmiotów.

Mikołaj przysunął swój zydelek blizko do kanapy Trofima i nucił śpiewnym, lamentującym głosem w dalszym ciągu:

— Wot... Nietolko samo Czortowo Ukrepljenie... wsio u nich zaczarowane. Słysz! Naprimier. Znalazł ja raz taką rurę. Taką, jak kiełbasa pokręconą tam i nazad trzy, albo i cztery razy... wiesz? To jest ich piec. Taki sam był w podwiżnym gospitalu i grzał, grzał, aż miło, a nikoły się w nim nie paliło. Bo i jakże palić, kiedy niema dziury na drzewo.. Germanskij piec... wot! Nu da. Znalazł ja, a na kwartirie był ziąb... czort pabieri! Przynoszę ja ten piec... pięknie, ładnie... na plecach, w nocy. Nu da. Przynoszę, stawiam pod ścianą, akuratnie, jak w gospitalu, przybijam z obu stron, takimi ot bretnalami, no i nic. Czekam ja trochę... macam. Zimny sukinsyn! Czekam jeszcze. Nu da. Macam... znowu zimny. I tak było ciągle... przez calusieńką noc. Ot nie chciał ogrzać kozaka! Tam w gospitalu byli wracze, oficery byli... to się bał, więc choć ruskich... grzał. Ale kozaka... niet, so wsiem niet!

— Kakiś płochyj buw, na wierno!... — zrobił swoje przypuszczenie Trofim.

— Tak niczewo płochyj... przecież był ten sam... ten sam, i z gospitala...

— Nu... nu... — zdumiewał się Trofim.

— Wot zaczarowany piec.

— Nu da... a eto Ukrepljenie... — dopominał się Trofim.

— Eto sowsiem czortowo dieło... — zapewniał Nikołaj— Słysz. W nocy pokazuje sie na niebie, nad tem Ukrepljeniem ogromna, biała płachta i świeci kak sam księżyc... nie, jeszcze mocniej, jak księżyc w pełni. Wszyscy ruscy patrzą zdaleka na tę płachtę... a jest tam milion ruskich sołdatów, pod tem Ukreplenjem. Wyłażą wszyscy z rowów i dziwują się. Ale to jeszcze nic. Naraz na płachcie pokazuje się... wiesz co?

— Nu da... czort!

— Niczewo podobnawo... Ukazuje się Matier Bożja. Niby, że to ona broni Ukrepljenia przed naszymi... rozumiesz?

— Nu kakże... ty skazał: eto czortowo dieło — dziwił się Trofim.

— Właśnie... jest to kłamstwo, samo kłamstwo. To nie jest Matier Bożja, ale czortowo dieło. Sam szatan przyjmuje postać Bogorodicy, niepomny, że to straszny grzech... straszny grzech.

— Od tego jest szatan by grzeszył... nu da — powiedział Trofim.

— Kiedy nasi — ciągnął dalej Nikołaj, nie chcąc się wdawać w dysputy — kiedy nasi wybałuszyli wszyscy oczy na płachtę, płachta zaczyna świecić coraz to mocniej. Rozumiesz, za nią, za tą płachtą czort rozpala straszny ogień piekielny...

— Przynosi z piekła, gdzie on jest gotowy, rozpalony już! — poprawił Trofim.

— Tak wsio rawno. Przynosi, czy rozpala, dosyć, że płachta świeci coraz to mocniej, wreszcie nagle...

— Jej Bogu... — szepnął Trofim i przeżegnał się.

— Nagle spada.

— Czort? — pisnął Trofim cieniuteńko, i skulił się na kanapie.

— Niet... nie czort? Spada płachta...

— A Bogorodica...

— Wszystko razem spada... ty durak... wszystko spada i światło piekielne razi, jak nie wiem co, oczy naszych, co wybałuszyli ślepia na płachtę szatańską.

— Dobrze im tak... — odsapnął Trofim. — Poco patrzyli na szatana? — Ja dumał, że to coś gorszego będzie.

— Durak czełowiek... krugom durak — oburzał się Nikołaj.

— Nu da — przyznał pokornie Trofim.

— Chyba nie wiesz, że wszyscy ślepną. Tysiące i tysiące ślepną. Raz na zawsze.

— Bieda... wot bieda.

— Dieńszczyk od samego kniazia Eristowa przysięgał mi, że sam widział w gospitalu może ze stu, a może i więcej ślepych ruskich sołdatów. Tak to oni wszyscy mają z czortem stowariszczenie... da da.

Trofim z trudem przysunął się do kolegi i osłaniając usta dłonią, szepnął mu:

— Nu da... To i my nawierno nie znajdziem, tego tielefona...

— Nawierno! — zgodził się po raz pierwszy Nikołaj bez dyskusyi. — Nu, a te czernyje sołdaty bezsmiertnyje... ha?

— Jej Bogu! Kakże... bezsmiertne...

— Czortowe roty. Słysz. Każdy goły po pas. Każdy ma spisę dłuższą od kozackiej i nóż okrągły jak sierp w ręku.

— Okrągły... po co?

— Nie mogu znat'! Ale ma. Trafisz takiego kulą, albo i dwiema. A on tylko podskoczy do góry wysoko i znowu stoi na nogach.

— Kakżeż... zabity?... Stoi?

— Durak... durak. On nie zabit. On żyw... on bezsmiertnyj sołdat!

— Tak tocznos! — przyznał Trofim.

— To jeszcze nic...

— Gospodi Boże...

— To jeszcze nic. Czarne sołdaty umieją latać po powietrzu, jak nietoperze. Czasem, kiedy się wzniesie cała rota szatańska, to gwiazd nie widzisz, choć niebo czyste.

— A słońce widać?

— Oni latają tylko w nocy.

— Dlatego są czarni... nawierno dla tego... już ty mi Nikołaj nie mów, ja wiem!

— Nie dla tego... ty durak, ja wiem dla czego!

— Nu, poczemu?

— Dla tego, że są to czarni sołdaci szatana. Tak mówił dieńszczyk od kniazia Eristowa, a on chyba wie dobrze... co, może nie wie? Ale to jeszcze nic!

— Jeszcze nic? A kiedyż będzie coś?

— Słysz! Jeden Orenburczyk skazał dieńszczykowi kniazia Eristowa, a on mnie. Wot. Ani orenburskie, ani kaukazkie kozaki już nie pójdą pod Ukrepljenie. Zginęło ich tam mnogo.. mnogo, może ze sto milionów, a może i więcej, tak, że mury ciał pomordowanych przez szatana wznoszą się wysoko, jak mury kamienic w mieście.

— Jej Bogu...

— Tak jest, powiadam prawdę. Konie nawet poznają swoich zmarłych i iść nie chcą.

— Nu da, łoszad' zawsze mądrzejsza od grzesznego czełowieka... nu da.

— Teraz pod Ukrepljenie pójdziemy my, Zaporożcy... ale nie tak jak myślisz, na śmierć... na same pazury szatana, bodaj on zdechł sukinsyn...

— Nikołuszka... Nikołuszka, riebionok... nie mów ty źle o czorcie, bo on jest pan wielki... straszny pan...

— Jaki tam pan znowu... — powiedział cicho Nikołuszka i obejrzał się przezornie wokoło. — Jaki tam znów pan, kiedy mu krowa da radę.

— Krowa? A to czto eto...

— Nu da. Spędzi się wielką, ogromną masę krów czarnych. Ze sto miljonów, a może i więcej... pewnie, że więcej. U nas krowy są. Trzodę tę będziemy my Zaporożcy pędzić przed sobą, aż pod samo Ukrepljenie. Czort strasznie lubi mleko. Wiesz przecie jak lubi.

— Tak tocznos znaju... co nie mam znać...

— A przytem jest on strasznie głodny, bo w Ukrepljeniu niema co jeść. Więc tedy, wiele jest szatanów podwładnych czortowi i on sam, wlezie zaraz każdy w jedną krowę i wszyscy zaczną cyckać jak cielęta... wiesz przecie Trofim jak będą cyckać.

— Nu da... co nie mam wiedzieć. Ale co z tego, że będą cyckać jak cielęta?

— Z tego będzie to, że kiedy czort zajęty cyckaniem mleka, przestanie bronić Ukrepljenia, to my wtedy pójdziemy na szturm i weźmiemy Ukrepljenie. Tak zrobimy my, Ukraincy... sławnyje mołojcy...

— Pójdziesz i ty Nikołuszka? Co? — spytał z niepokojem Trofim.

— Niczewo padobnawo... ja dieńszczyk...

— No to haraszo... eto oczeń haraszo — pocieszył się.

Nagle rozległy się w pokoju żywe, niecierpliwe kroki. Sztabs-kapitan wstał, przechadzał się nerwowo. Chodził tam i napowrót. Oczywiście dieńszczyki rozmawiać przestali. Czekali co też z tego chodzenia wyniknie dobrego lub złego.

Nareszcie zaskrzypiały drzwi wiodące na taras, a jednocześnie padł rozkaz.

— Nikołaj. Siejczas łoszad'! Trofim siuda!

Mikołaj rzucił się do siodła i trenzli, mieszczących się gdzieś w przylegającej do kredensu ubikacyi, porwał wszystko co trzeba na ramię i wybiegł.

Trofim tymczasem stał już przy drzwiach pokoju wyprostowany, spocony, zdyszany, z dłonią przy furażce. Czekał, ale pan jego nie zwracał żadnej na Trofima uwagi.

Stał na wielkim tarasie, obrzeżonym kamienną balustradą i patrzył.

Dwór, położony na lekkim stoku, od strony parku posiadał piętro, chociaż parterowym był od frontu. Stojąc na kamiennych flizach Erazimow podziwiał widok. Przed sobą miał cudną, wielobarwną gęstwę jaworów, grającą jaskrawemi barwami, to na tle szafirowego nieba, to znów na srebrzystej chmurze, obrzeżonej różowym rąbkiem. W gęstwie czerwienił się tu i owdzie stary świerk, pinie łyskały granatową plamą gałęzi, pnie zaś miały krwawe. Przecinały szeregiem kobaltową sylwetę dalekiego grzbietu gór, zamykającego widok od strony zachodniej, gdy ku południowi słała się w bezmiary równia ciemnozielona, poznaczona wielkimi, koloru ochry placami ściernisk. Wiatr ustał nagle. Upojna cisza legła na wszystkiem. W tym zakątku, jesień zgłuszyła dostojną powagą swoją wrzawę wojny, przewalającej się po świecie całym.

Jak zjawa senna, nieprawdopodobnie błyszczący siedział na kamiennej balustradzie przecudny, biały paw i trwał w bezruchu zapatrzony w dal. Srebrny, ledwo dostrzegalnie seledynowemi oczkami poznaczony ogon jego zwieszał się na dół. Spływał jak strumień po szarym kamieniu, rysując się na nim przeczystą linią. Nie brakło ani jednego piórka. Był to paw bariszni. Zresztą nie dał się tknąć nikomu. Gdy zaś razu pewnego nieco pijany z racyi swych urodzin Trofim żartem zmierzył doń z karabinu, został przez pana postawiony na trzy godziny w postawie na „smirno" w pełnem uzbrojeniu, z karabinem, ale za to bez butów pod stajnią w gnoju. Natomiast paw dostał resztę babki, jaką przysłano Trofimowi z domu, a której nieszczęściem skonsumować nie zdołał. Trofim był zrazu w rozpaczy, ale paw nie chciał babki, więc prawy właściciel zjadł ją po odbyciu kary, coprawda nieco zanieczyszczoną.

Ptak, pewny swej nietykalności, nie poruszył się nawet. Nie zwrócił na Erazimowa wcale uwagi. Patrząc nań czuło się

jak cudnie, jak nie słychanie pięknie być tu musiało dawniej. Biała wizya niedalekiej przeszłości, ptak niepokalanie piękny, patrzył ciągle ku południowi, jakby na coś czekał, co stamtąd przyjść miało. Wydawało się, że jest wykuty ręką mistrza z kararyjskiego marmuru i osadzony na szarym cokole piaskowca.

Erazimow patrzył ciągle. Niewysłowiony czar głębokiej ciszy ukołysał jego myśli. Wybiegły hen tam... ku skrajowi lasu, kędy wyzierał z granatowej gęstwiny czerwony rożek dachu. Ale stanęły na pół drogi... zadumały się na chwilę i dopiero po jakimś czasie ruszyły naprzód.

Teraz przysłonił oczy dłonią od blasku i jął patrzyć bardziej ku południowi, gdzie na żółtem tle ścierniska ledwo dostrzegalny widniał szereg pracujących żołnierzy. Poruszali się ciągle, nie zmieniając jednak miejsca, zaś pobok szeregu przesuwali się tam i z powrotem dwaj jeźdźcy.

Gdyby nie czarne sylwetki koni, gdyby nie ruchy pracujących, nie sposób by było wogóle coś dojrzeć, tak doskonale zlewała się barwa szynelów z kolorytem pejzażu.

Trofim, stojący w pokoju, pozwolił sobie krząknąć z cicha.

Erazimow ocknął się, wszedł do środka i obejrzał się wokół. Zawisnął spojrzeniem na szabli i rewolwerze, wiszących na ścianie, ale zaraz machnął ręką.

Potem wysunął przed siebie jedną nogę. Trofim zrozumiał w mig. Rzucił się do kredensu i w sekundę potem czyścił, sapiąc przeraźliwie, połyskujące już i tak jak słońce buty swego pana. Kapitan przesunął po uniformie miękką szczotką, wziętą z umywalni, potem przygładził przed lustrem włosy i rzekł:

— Pielerina!

Podczas gdy Trofim szukał okrycia w dalszych pokojach, Erazimow skropił się obficie jakąś perfumą i niebawem pię-

kny, błyszczący siedział na pysznej, złotej kasztance, grzebiącej niecierpliwie ziemię kopytem.

Obaj dieńszczyki z dłońmi przy czapkach, wyciągnięci jak struny, czekali ostatnich rozkazów.

— Wsio zajawit' siejczas... tam — ukazał ręką kierunek— Paniał?

— Słuszajus... wasze wysokobłagorodje! — odkrzyknęli jednym głosem.

Pofolgował cugli tańczącej pod siodłem „Maszy", rzucił się z miejsca krótkim, lansadowym galopem, objechał z wyraźną przyjemnością wielki, zniszczony gazon i ruszył truchtem przez park.

Czuł się szczęśliwy, wypoczęty, spokojny. Mijał rozłożyste niewypowiedzianych barw drzewa. Czarne konary znaczyły się na tęczowem tle intensywnie, jak kresy węglem uczynione, czarne pnie tkwiły w seledynowej murawie, posępne jak pale, ale czerń ich, wtopiona w rozchwiej cudnych barw, zatraciła w tem całą swoją żałobę.

Migotały, jak zwrotnikowe motyle czerwone, żółte, szafirowo-zielone, różowe, koloru ciała dziecięcia, to znów nakrapiane barw tysiącem liście, na gazonach leżał blado-turkusowy nalot mgły, przed chwilą dopiero powstałej.

Zamajaczyły na lewo białe mury kaplicy, nakrytej gigantycznym parasolem odwiecznych, teraz szarych i niemal bezlistnych lip, rysujących się na tle nieba zwikłaną siatką gałęzi...

Zaskoczył mu z prawej i z lewej obustronnym, flankowym ruchem, wysoki, zbity żywopłot grabowy. Masza rzuciła się w gęstwę i przeskoczywszy porzucony w dwuskrzydlnej, żelaznej bramie, zapomniany drąg, wbiegła pomiędzy topole, sterczące poważnie z obu stron drogi, ścielącej się jak strumień po wzgórzu na równię.

Wiatr ucichł zupełnie. Z oddali okrytej już wyraźną, siną mgłą, dobiegał niewyraźny pogłos pieśni smętnej, rytmicznej,

nuconej przez pracujących sołdatów. Wszystko wokół oddychało spokojem, napełniało dziwną jakąś czasu wojny pewnością bezpieczeństwa. Trudno było pojąć, że tam gdzieś wre walka, powietrze rozdziera w szmaty huragan przelatujących pocisków, dusze mrą bardziej zgiełkiem jak kulami pobite, udręczone na śmierć.

Erazimow jechał, półgłosem powtarzając sobie to, co jej miał za chwilę powiedzieć;

— Odkot sginiełaś, kak sień kakij zołotyj...

Czuł, że jeszcze nie dobrze wymawia, że to ma być jakoś inaczej. Ale cieszyło go zarazem to właśnie, że ona będzie się zżymała... że będzie poprawiać...

— Czudiesnaja barisznia... czudiesnaja...

Klacz płynęła jak okręt, nie czuł wcale jej kroku, kołysał się w ciszy i barwach, zapomniał czem był, z jakiej racyi tu jest, w jakiej roli, w jakim stoi stosunku do ludzi, rzeczy, do wszystkiego... do niej przedewszystkiem. Gdzieś w dali tego przelśnionego złotem pejzażu, jak w toni przeszłości dawnej, przeżytej od lat całych zatonęło poczucie, że jest tutaj obcy, cierpiany jeno z musu... wróg, że kto nań spojrzy, pomyśli natychmiast: Moskal, a jeśli nie powie, to tylko ze strachu.

Zamajaczyło mu w myśli to słowo. Uśmiechnął się tylko, bo było dalekie, wydawało mu się wspomnieniem odepchniętej falą czasu przeszłości z zeszłego roku... któżby pamiętał.

— Wot czełowiek,.. wot czełowiek!—rzucił owemu wspomnieniu i uśmiechnął się doń niemal życzliwie.

Był dziś na poziomie, gdzie do głosu przychodzi sama jeno dusza, gdzie z widomego kształtu człowieka opada tej czy innej barwy uniform, gdzie można, jak łachman cisnąć zużyty, ten czy ów „ukaz"... gdziebądź... w pierwszy lepszy rów przydrożny.

— Odkot sginiełaś, kak sień kakij zołotyj...

Podkowy tętniły po szczerym kamieniu, gdyż wszystką ziemię z gościńca, roztartą na proch tylokrotnem przewalaniem się niezliczonej liczby armat, piechoty, konnicy, furgonów... zabrał wiatr, hen ku Karpatom wiejący. Ku Karpatom...

— Jej Bogu...

Lodowe zręby, śniegiem przymiecione przepaści czerwoneż tam bywały od Zachodu... i krwi, tego poblasku zachodzącego życia, co jak słońce idzie gdzieś w noc, w ciemń, w niezbadane, niewidzialne... czarne.

— Wot, bratcy... wsie bratcy...— myślal — leżą sobie zwarci w uścisk... ostatni... żałko... żałko...

Klacz płynęła, niosąc go niepostrzeżenie coraz bliżej domku skrytego pośród drzew, tak, że jeno kawałek czerwonego dachu wyzierał z ciemnej, czarnej niemal zieleni świerków.

Nagle Masza rzuciła się w bok. Zgrabnym, sarnim rzutem przeniosła się przez rów, parsknęła trwożnie i pomknęła po ściernisku, zataczając wielki łuk.

Mimo niespodziewanego ciśnięcia, zdołał jeszcze odwrócić głowę i rzucić okiem w stronę, skąd przyszedł przestrach kasztanki.

Pośród czarnych sylwet, sterczących w niebo sosien, blizko czerwonego pnia, kulił się chłop w kożuchu.

Siedział tyłem do drogi, ale przechylona w bok głowa i łyskające z pod czarnej, baraniej, mazurskiej czapy migotliwe oczy świadczyły wymownie, że patrzy z zainteresowaniem na to, co się dzieje na gościńcu.

Pocisnął Maszę ostrogami i przyciągnął trenzlę. Spięła się na moment, ale zaraz posłuszna wróciła na miejsce. Toczyła pianę, zawieszała się kopytami w powietrzu, a jeździec szukał tymczasem oczyma dostrzeżonego przelotnie chłopa.

Jedle stały nieme, nie drgnęła ani jedna gałązka. Na śmigłych pniach łyskała czerwień zachodu, mieniąc się gamą przejść niewysłowionych, jak płomień ogniska.

Pod jednym z pni leżał nieforemny, wielki kamień, poplamiony zielenią pleśni. Chłopa nie było.

Że go nie odnajdzie, wiedział wówczas jeszcze, kiedy zawracał konia. Coś, z czego nie umiałby zdać sobie sprawy, ni ująć w logiczną formułę twierdzenia powiedziało mu, że jednak jestto ważne, bardzo nawet może ważne spotkanie, że z tem należałoby się liczyć.

Uczuł żal, że wybrał się bez broni i obrócony w siodle spojrzał poza siebie. Daleko, skąpany w sinej mgle, na wzgórzu, które teraz wydało się dużo wyższem, widniał gdzieś na skraju horyzontu dwór wtulony w bukiet drzew. Opar zaścielał równię i snuł się jak dym, obmywając stopy parku.

Zrezygnował. Przed nim o jakieś najwyżej kilkaset kroków stał domek wciśnięty w świerki i czerwienił się rożek dachu.

Stał tak przez chwilę nieruchomy, skupiony, zamyślony, wreszcie, gwizdnął pod nosem, trzepnął się trzymaną w ręku trzcinką po butach i rzucił Maszę w krótkim galopie prosto na domek, wpadł w bramę, okolił niewielki, zalany astrami klomb i zarył się przed gankiem, aż piasek wyleciał wysoko w powietrze z pod kopyt klaczy.

Domek stał cichy, jakby wymarły.

Masza przez chwilę tańczyła po żwirze, a Erazimow dumał. Nie wiedział jak się wziąć do rzeczy. Zazwyczaj, na odgłos tętentu jego kasztanki wybiegał czerwonooki, jasnogrzywy Józek i śpieszył pomagać, pamiętny rubla, jaki musiał się niechybnie znaleźć w jego głębokiej, a wiecznie głodnej kieszeni. Dzisiaj nic.

Okna szczelnie zamknięte lśniły tęczowo w ostatnich blaskach zachodu. Faliste tafle lichego szkła rozbryzgiwały w przecudną gamę barw czerwone, skośne promienie.

Astry wyglądały, jak polane krwią, ścieżki rudziały, czer-

nił się wysoki parkan, słoniący podjazd od ogrodu, skrytego kędyś pośród zabudowań.

Erazimow widząc, że nie można inaczej, zsiadł wreszcie, przywiązał Maszę do podpierającego parkan starego kasztana i wstąpił na stopnie ganku.

Położył rękę na klamce w przekonaniu, że drzwi zamknięte, ale ustąpiły pod naciskiem. Wszedł do małej, napoły ciemnej sionki, zastawionej kuframi, zawieszonej różnemi okryciami, zatłoczonej w sposób niemożliwy. Na pierwszy rzut oka widocznem było, że poznoszono tutaj przeróżne rzeczy uratowane z miejsca bardziej zagrożonego. Obrócone do ściany stały wielkie obrazy w złoconych ramach, szarzejąc zgrzebnem płótnem, sterczały jak kolumny pozwijane wielkie dywany, rysowały się na ciemni tajemniczo desperacko zadarte, kabłąkowate, rzeźbione nogi barokowych foteli, łyskając tu i owdzie złoceniami, wisiały na gwoździach różnobarwne rozwaliste, sute szuby, ku uciesze moli i wszelkiego robactwa zawieszone tutaj, gdyż widocznie nie było na nie miejsca gdzieindziej.

Erazimow wiele już razy przechodził przez tę sionkę i doznawał zawsze uczucia pewnej jakby dumy. Jakieżbo nieopatrzne te Poliaczki! wieszać tutaj tyle dobra wszelakiego... Jej Bogu... gdyby nie on... Erazimow... Z jakąż rozkoszą ubrałby się w te przepyszne, naprzykład, niebieskie lisy pierwszy lepszy kozak? Wot i poszłoby dobro antenatów czudiesnoj bariszni. Wot Poliaczki... wot duraki... rebiata... dzieci lekkomyślne!

Drzwi do pokoju były zamknięte. Popróbował raz i drugi. Potem zapukał.

Cisza.

Zapukał jeszcze raz.

Zdało mu się, że słyszy przyciszoną jakąś, gorączkową rozmowę, potem jakieś kroki. Czekał.

Pośród narzucanych jedne na drugie gratów gospodarowały niestrudzenie myszy. Słyszał wyraźnie odgłos gryzienia i szmer bieganiny.

Zapukał poraz trzeci z postanowieniem, że jeśli teraz ktoś się nie odezwie, natychmiast siądzie na konia i odjedzie z powrotem.

Nareszcie zastukały kroki, zgrzytnął klucz, drzwi się otwarły i rozległo się:

— Proszę!

Wszedł i od progu zaraz wyciągnął obie dłonie do stojącej przed nim średniego wzrostu, ciemnookiej blondynki, ubranej w czarną, wełnianą zapiętą niemodnie pod samą szyję suknię.

Rysy miała niezmiernie drobne, nos i kąty oczu, jakby przez średniowiecznego wykute rzeźbiarza. Taił się w tych kącikach siny ton smutku, oczy podkrążone były i jakieś jakby zestrachane. Brak czegokolwiek barwnego koło szyi nadawał toalecie wyraz żałoby narzuconej przez wypadki, czy uznanej za najodpowiedniejszą na teraz. Tylko połysk oczu i dobry uśmiech małych, starannie wykrojonych, bladych ust ożywiał całość niezmiernie dostojną, poważną a pociągającą jednocześnie.

Najwyraźniej była zażenowana, czy przerażona czemś niespodzianem.

Uścisnąwszy oburącz długą, delikatną dłoń dziewczyny, Erazimow zupełnie po niewczasie złożył jej ukłon głęboki. Przebił się w tem właśnie postąpieniu cały jego do niej stosunek. Pociągała pięknem, a trzymała w oddali narzucającym się nienatrętnie szacunkiem.

— Bonjour monsieur!— powiedziała po francusku, nie chcąc mówić jego językiem.

— Dobry dzień... dobry wieczór... zdrawstwujtie barisznia... Łutsze po polsku.

Gadał co mu przyszło do głowy i patrzył w nią, jak w obraz cudowny.

— Siadaj pan, proszę!—powiedziała, wskazując fotel. Ale on stał dalej.

— Łutsze po polsku... tak, proszę... po polsku... Ja przyuczyłsia zdzieś coś dla was barisznia...

— Cóż takiego?

— Adin... poem...

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Zaczyna pan od poematu. To dziwna droga. A jakiż to poemat?

— Eto... kakże... acha „En Suisse"... w Szwajcarye...

— Niepodobieństwo! Pan przecież nie umiesz jeszcze czytać!

— Dlia was barisznia... wsio... wsio...

— Cud oczywisty!

Patrzył na nią nieustannie, jak zahypnotyzowany. Pragnął się koniecznie pochwalić natychmiast tem, czego się nauczył z takim mozołem, ale... uczuł nagle, że nie pamięta nawet pierwszego słowa.

Nagle, bez pukania wbiegła do pokoju bosonoga dziewczyna w czerwonej spódnicy, przysunęła się, jak cała jej suknia, czerwona, do ucha panienki i zaczęła coś szeptać.

Erazimow niemal kontent był z tej przerwy, która pozwalała mu zebrać zmysły i przypomnieć sobie bodaj pierwsze słowa... potem pójdzie jakoś. Zresztą nie szło o wiele. Nauczył się przecież na dziś tylko czterech wierszy.

— Przepraszam!—powiedziała nagle panna—wstała i znikła jak widmo w drzwiach, w głębi. Odsapnął, wstał z fotelu i przystąpił do okna. Stojąc z czołem opartem o szybę widział w ramie rozwartej szeroko bramy posiniałą już od strony gór, zaróżowioną jeszcze zachodem, szeroko rozlaną równię, obrzeżoną tam, gdzieś, daleko na skraju widnokręgu nizkim pasmem lasów.

Masza kręciła się niespokojnie, targając nerwowo trzymającą ją przy drzewie, czerwoną, safianową trenzlę. Ujrzawszy pana, zastrzygła uszami i zarżała głosem, w którym czuć było zdziwienie i obrazę. Zaiste, pierwszy to raz musiała stać tak

opuszczona, bo zawsze dotąd zjawiał się Józek i wiódł ją troskliwie do paradnego przedziału stajni, na miejsce wziętego do wojska „Bucintora".

Coś się tu dzieje niezwykłego — pomyślał Erazimow. — Nikt nie zabrał Maszy, ona jakaś także nieswoja... Co to jest? Ano, trzeba widać samemu..

Wyszedł, odwiązał klacz, poklepał ją po złotej szyi i wprowadził przez małą, dobrze sobie znaną furtkę na podwórze, zapełnione także rozlicznym gratem uratowanym tutaj ze dworu. Konie musiały mieścić się, jak można było, w stajni folwarcznej... ot byle przetrzymać. Zresztą ile tam tego zostało? Boże się pożal...

Nagle Erazimow osłupiał. Stanął bez ruchu. Na progu kuchni siedział chłop przybrany w krótki kożuch i baranią czarną czapę. Siedział i palił papierosa.

Poznał go... To był on... ten spotkany... albo ktoś zupełnie doń podobny.

Uczuł nagle, że choćby nawet chłop ten nie miał żadnego specyalnego znaczenia on, Erazimow musi niezwłocznie jechać do dworu... musi... tak... nieodwołalnie!

Gnało go coś. Niejasno sięgało mu po głowie, że należy koniecznie tych ludzi przytrzymać... zbadać... Albo, jeśli to jeden człowiek, także niezwłocznie zamknąć, przesłuchać...

Zbudził się w nim żołnierz, oficer, na odpowiedzialnem stanowisku...

Ukłuł go w serce żal... wielki żal, że nie wziął broni... choć właściwie, nie istniała dotąd żadna potrzeba posiadania broni jakiejkolwiek.

Szybko cofnął się, wyprowadził na front Maszę i lekko przywiązał ją do jakiegoś sterczącego opodal patyka.

Chciał się tylko pożegnać... nie wiedział jeszcze jaki znajdzie wykręt, ale czuł nieodporny mus wyjechania stąd natychmiast.

Właśnie zwrócił się ku gankowi, gdy uszu jego dobiegł krzyk.

Nie słyszał nigdy jej krzyku, ale zrozumiał niezwłocznie, że to ona.

Jednym skokiem przesadził schody, szarpnął drzwi jedne, potem drugie i wpadł do pokoju i osłupiał.

Pokój był pusty.

Szybkim krokiem przebiegł go i otworzył drzwi w głębi.

Musiał się jednak natychmiast cofnąć.

Jak posąg kamienny, stał w ramie drzwi znany mu dobrze chłop, z wymierzonym prosto w głowę Erazimowa wielkim pistoletem mauzerowskim.

Natychmiast poznał broń, ale jednocześnie uświadomił sobie, że człowiek ten nie strzeli.

— Ruki w wierch! — rozkazało zjawisko.

Ale pewny, że człowiek ten nie strzeli, gdyż popsułby sobie całą sprawę, Erazimow rzucił się do okna, otwarł je jednym szarpnięciem i, wyrwawszy z za zakładki uniformu donośną sygnałową syrenę, wydał przeciągły, straszliwy dla uszu gwizd, kierując głos w stronę dworu.

Ale nie mógł powtórzyć sygnału. Ręce jakieś krzepkie objęły go z tyłu, przyciskając jego łokcie do klatki piersiowej.

Syrena wypadła z palców i zawisła na złotej plecionce. Z wysiłkiem wykręcił na bok głowę, chcąc widzieć, kto go trzyma. Zobaczył, że pierwszy z chłopów stoi ciągle z bronią gotową do strzału, drugi zaś, zupełnie doń z ubrania podobny, ściska go w żelaznych objęciach.

— Komm, hilf mir! — powiedział, ten który trzymał, gdyż właśnie Erazimow nagłym, niespodzianym ruchem zdołał wyrwać prawe ramię i szarpał trzymającego za włosy.

— Schon recht!—odparł tamten najspokojniej. Wyjął z kieszeni garść zwiniętego sznura i, zaszedłszy z tyłu, wykręcił ramię wolne Erazimowa, tak, że tenże aż krzyknął z bólu.

Za moment miał związane z tyłu ręce i skrępowane aż po sam pas nogi.

— Wot padlecy... wot sukinsyny! — zaczął wołać oburzony.

Ale niedługo mu na to pozwolono. Zręcznie z chustki skręcony knebel zatkał mu usta.

— Est-ce-que vous pouvez respirer aisement?—spytał jeden z napastników głosem bardzo ugrzecznionym.

Erazimow zgłupiał i mimowoli dał głową znak potwierdzenia. Knebel był rzeczywiście włożony po mistrzowsku, uniemożliwiał tylko mówienie, nie tamując wcale oddechu. To jeszcze nic, ale owo dziwne ugrzecznienie... to go zupełnie pogrążyło.

Przestał stawiać opór, zresztą i tak nie mógłby tego uczynić w sposób dostatecznie skuteczny.

Wzięli go tedy jak twardą kijankę, nakryli głowę jakąś materyą, prawdopodobnie własną jego peleryną i wynieśli gdzieś na dwór. Pierwszy ujął go pod ramiona, drugi pod kolana.

Nieśli go, a on myślał. Przyszedł już zupełnie do siebie. Nie mógł nie uczuwać szacunku dla tych dwu śmiałków, rzecz oczywista, oficerów przebranych, którzy porwali się na uczynienie zamachu na oficera zwycięskiej armii, pochwycili go pod samym nosem jego własnych podkomendnych, jak głupiego barana skrępowali i oto teraz niosą gdzieś, sami chyba nie wiedzą gdzie... bo przecież nie mają zamiaru dostać się z pojmanym za linię bojową, odległą najmniej o sto kilometrów.

— Wot mołodcy... Im krest, konieczno krest! — myślał.

Zaimponowali mu niezwykle.

Ale z tem wszystkiem nie wiele rozumiał. Bo naprzykład, skąd wiedzieć mogli, że wyjedzie bez broni? To ciekawe. Nie mogli wiedzieć. Musieli... widzieć! Ale jak? Wszak jeden strzał, a niezwłocznie byłaby przyszła odsiecz, albo z dworu dieńszczyki, albo część batalionu, pracującego na równi przy poszukiwaniach...

Widzieli tedy; postrzegli. Tedy czatowali nań oddawna.

Może kilkanaście już razy ciekawe oczy śledziły z napięciem, kiedy w podskokach niosła go Masza do małego, cichego domku, gdzie się schroniła czudiesnaja barisznia ze dworu.

Wot, już po jego złotych szlifach. Dał się wziąć.

Czy o tem wiedziała... ona?

Natychmiast myśl tę odepchnął. Wspomniał krzyk, jej krzyk. Ale czemu była taka zmieszana dzisiaj. Tedy wiedziała... Wot barisznia... Tak jest, musiała wiedzieć. Wot czudiesnaja barisznia... Polka...

Nie mógł jeszczę pojąć, w jakim stał stosunku do tej Polki... on, Moskal... on najezdca kraju, jej kraju. Nie uświadomił sobie obowiązków jej wobec przedstawicieli armii kraju własnego.

Ale kiedy czatowali na niego, tedy mieli jakiś interes, ważny interes. Sam on, Erazimow nie reprezentował tak dalece nic. Cóż tedy u licha spowodowało pochwycenie jego właśnie. Czemuż nie zaczekali aż przyjedzie praporszczyk Joann Nikiforowicz Schneege... on baron, znana rodzina nadbaltycka. Czort znajet co w tem jest.

Jednak, niech będzie jak chce... szalona odwaga. Wot mołodcy!

I... już po jego złotych szlifach. Wot dola!

Ha... ale co się stało z Maszą? Gdzie może być teraz Masza? Jeśli uciekła, to może wróciła do dworu, a wówczas...

Uczuł się nieco podniesionym na duchu. Tak. Masza. Masza naprawi wszystko.

I jakby jeden powiew pociechy wyprzedził tylko o moment towarzysza, błysnęła mu nagle myśl, od której krew gorącym strumieniem przetoczyła się po nim całym. Gdyby mógł, krzyknąłby niezawodnie z radości.

— Wot mnie szlify! Wot mnie krest!

Oczywiście. Jakże mógł być tak głupim dotychczas. Pyta dlaczego jego to właśnie pochwycili? Rzecz niezmiernie prosta.

— Tielefon!

Naturalnie. Nie jest on tedy mitem. On natomiast, Erazimow, jest durakiem, jest siedemkroć siedmiorakim durakiem i powinien sobie sam napluć w twarz za to, że drwił z owego telefonu, którego rząd szuka już od trzech miesięcy daremnie.

Wot durak, krugom durak! Zamiast szukać, zamiast własnemi rękami grzebać w ziemi, spinać się po drzewach, włazić do piwnic i tak dalej i tak dalej, on, sukinsyn, leżał na otomanie i uczył się poematów dla bariszni, dla czudiesnoj bariszni, która go...

Nie. Nie mógł jednak uwierzyć, by ona była w zmowie. Co najwyżej uległa przemocy... conajwyżej nie zdradziła własnej armii... oczywiście! Teraz pojął.

Tak toczno!

Erazimow uczuł, że jest w zgodzie z całym światem, radość rozpierała jego piersi, serce biło mu gwałtownie. Wyobraził sobie, co powie na to Europa, świat cały, gdy się okaże, że on, Erazimow, zwykły sztabskapitan Jewo Impieratorskawo Wieliczestwa, odkrył tajny przewód, łączący Ukrepljenie czortowe ze stolicą państwa nieprzyjacielskiego...

Wszystko tedy zależy od Maszy. Chwała Rassii siedzi na siodle Maszy. Gdzież jest tedy Masza? Oni nie mieli pewnie czasu jej pochwycić. Przywiązana była do tak słabego patyczka, że byle szarpnięcie, musiała się uwolnić. Gdzież jest tedy Masza?

Wszystko to przesunęło mu się przez myśl błyskawicznie. Myślał i czuł jednocześnie rytm kroków, śpieszny, a jednak regularny, niezmiernie regularny rytm. Ciało jego huśtało się nawet dosyć przyjemnie w ślad rytmu tego. Pomyślał: oni umieją nawet po mistrzowsku nieść pojmanego. Oni potrafią wszystko! To przygasiło nieco jego radość, ale zawsze zostało mu wielkie, jasne okno na przyszłość, widział się przez nie chodzącym w przecudnej gloryi orderów po lśniącej posadzce

pałacu... jego własnego pałacu w rodzinnem mieście Ufie... Tak toczno.

Niosący zatrzymali się. Erazimow uczuł, że znajduje się w jakimś budynku.

— Gdzie koń?—spytał jeden z napastników po niemiecku.

— Niedaleko. Zaraz będzie! — odpowiedział drugi. — Ale najpierw na wóz z nim!

Podnieśli go. Półkoszek chłopskiej fury wcisnął mu się w bok, aż zabolało dotkliwie, ciało jego wykonało przy pomocy obu dzwigających pół obrotu i za chwilę legł twarzą na dół, na słomie.

Zaraz przyrzucono go z wierzchu grubą warstwą słomy, potem jeszcze nakryto czemś ciężkiem, tak, że oddychał z trudnością.

Jeden oddalił się, by przyprowadzić konia, drugi zrzucił słomę, odkrył pojmanemu twarz, obrócił go na wznak i powiedział:

— Przepraszam. W pierwszej chwili zapomnieliśmy. Teraz będzie panu wygodniej. Może jeszcze coś pod głowę?.. Ha?

Erazimow kiwnął głową potakująco.

Przebrany oficer zwinął kilka garści słomy i podłożywszy leżącemu pod głowę, rzekł:

— Taak. Teraz będzie dobrze!

Erazimow podziękował skinieniem ponownem. Nie chciał się dać przelicytować w uprzejmości.

To kiwanie uświadomiło mu, że może się rozejrzyć wokoło. Nie wiele jednak widział. Na prawo i lewo wznosiły się drewniane ściany jakiejś jakby szopy. Nie mógł także oznaczyć mniej więcej oddalenia od domku, gdzie go pojmano, gdyż przez całą drogę oddawał się rozmyślaniom.

Przebrany oficer chodził koło wozu tam i z powrotem. Raz spojrzał na zegarek. Erazimow radby był wiedzieć, która godzina, nie mógł jednak mówić. Z mroku, jaki tu panował, wnosił, że słońce już od jakiegoś czasu zaszło. Ale i to było

trudne do oznaczenia, bo w szopie w samo południe niekoniecznie musiało być jasno.

Nagle oficer nastawił ucha. Czekał. Potem wyciągnął z za pazuchy pistolet.

Erazimow usłyszał tętent zbliżający się szybko.

Teraz szło o to tylko, czy oficer nie palnie pojmanemu w łeb zanim nadejdzie pomoc. Erazimowa mimo, że był odważnym, przeszedł mróz.

Tętent zbliżał się ciągle. Można było odróżnić bieg jednego tylko konia.

Oficer zbliżył się ostrożnie do wyjścia i, skradając się przezornie, znikł gdzieś.

Erazimow zebrał wszystkie myśli, by znaleźć jakiś szybki sposób ratunku, na wypadek gdyby nadchodząca pomoc miała zawieść. Ale niczego nie wymyślił. Było to wprost niepodobieństwem.

Tymczasem tętent był już blizki... jeszcze chwila... jeszcze moment... Erazimow drżał na całem ciele. Nie wiedział co się z nim dzieje.

Nagle rozbrzmiało silne, długie, niespokojne rżenie.

— Masza! Masza! Nie ulegało kwestyi, to był głos Maszy

Klacz zwolniła biegu, zarżała raz jeszcze.

Erazimowa ogarnęło teraz zdziwienie. Dlaczegóż tak cicho. Dlaczego niema strzałów. Czyby przebrany oficer uciekł? Kto przyjechał na Maszy? Dałby był nie wiem co, by módz zawołać: Trofim! albo: Nikołaj! Przeklęty knebel!

Klacz stała u wejścia do szopy, albo gdzieś w pobliżu. Ktoś z nią rozmawiał. Erazimow słyszał przychlebne słowa, pogwizdywanie... Ktoś wabił Maszę... ale kto na miłość Boską.

Naraz rozległy się kroki końskie i ludzkie.

Erazimow zrozumiał nagle. Oficer przywabił Maszę, która biegała sama, szukając pana i przyprowadził ją tutaj... Wot czort pobrał wsio!

Masza obwąchiwała widać ściany szopy, bo słyszał jej oddech.

Nagle na oczy spadła mu zasłona. Uczuł, że go nakrywają słomą napowrót.

— Przepraszam pana!— rzekł oficer — ale zaraz jedziemy, przeto muszę...

Nie mógł nawet zobaczyć swej kochanej Maszy! Wot nieszczęście... wot bieda!

Przyszła więc, jak marzył. Przyszła do niego, ale głupia... przyszła sama!

Głupia kobyła. Ale przecież niepodobna, by nie była we dworze! Niepodobna!

Naraz rozbrzmiała rozmowa. Widać wrócił towarzysz oficera z koniem. Erazimow nie wiele teraz słyszał, ale zdawało mu się, że pochwycił słowo:

— Weiter, nicht da!

Czyżby to znaczyło, że tam gdzieś, dalej, zabiją Maszę... A może jego samego?

Wkrótce wóz ruszył. Uczuł lekkie wstrząśnienie, kiedy koła uderzyły w próg szopy i rozpoczęła się jazda względnie wygodna, ale straszna, beznadziejna.

Cóż go teraz mogło ocalić?

Przez długi czas nie myślał nic. Leżał jak kłoda.

Potem przyszło mu na myśl, że przecież możliwe jest, że napotkają oddział żołnierzy wracających z roboty, ci zaś zechcą dopuścić się małego rabunku na własny rachunek. Tedy go znajdą. Niestety, przypomniał sobie, że oddział idący w porządku, z komendantem na czele, rzadko tylko dopuszcza się rabunku. Sam tego zabraniał i nawet ukarał raz surowo... zaraz, czyż nie właśnie Miodozubowa ukarał za taką rzecz? Prawda. A, niech to porwie czort! — zaklął w duszy. Podoficer Miodozubow właśnie był komendantem oddziału poszukiwawczego dzisiaj.

Po jakimś czasie posłyszał rzeczywiście coś, jakby oddalony śpiew. Poznał melodyę. Więc rzeczywiście oddział wracał z roboty.

Ale śpiew był nader nikły, więc albo nie mógł więcej słyszeć skutkiem leżącej na nim słomy, albo wóz skręcił przezornie gdzieś na pola, tak, że nie mogło być mowy o ocaleniu przez napaść żołnierzy.

Tak też się stało. Po chwili śpiew przycichł, rozwiał się i już tylko koła dudniły monotonnie po drodze.

Nagle uczuł chłód. Oficer odsłonił mu twarz i powiedział:

— Pozwoli pan, że to usunę. Będzie wygodniej.

Uczuł dlań wielką wdzięczność i wciągał z rozkoszą przez nos rzeźwe powietrze. Księżyc ukazał się na skłonie widnokręgu. Mgły prawie już nie było, ale zawsze jeszcze pasma jej włóczyły się jak marudery po polach.

Erazimow chciał rozpoznać okolicę, ale nie zdołał. Wokół leżała bezbrzeżna równina.

Jechali tak przez czas jakiś, wreszcie rozległo się dudnienie wozu jakiegoś, dolatujące z dali.

— Przepraszam...—powiedział znów oficer—i nakrył Erazimowa trochą słomy i derką.

Nie mógł teraz widzieć, ale słyszał jako tako wszystko.

W chwili, gdy go nakrywano, pomyślał, jak jest przecież głupi, że nie starał się dojrzyć, czy Masza idzie w zaprzęgu. Zresztą prawda? Cóżby mu z tego przyszło.

Wóz, jadący z przeciwka, przetoczył się spokojnie. Po szczęku żelaziwa poznał Erazimow, że to nie żaden furgon. Ot zwykły chłopski wóz. Tedy musieli jechać drogami polnemi... niezawodnie.

Jadący rozmawiali po niemiecku. Słowa ich brzmiały spokojnie, poważnie. Całe to karkołomne przedsięwzięcie nie napędziło im widać krwi do serca. Robili wszystko z niesłychanym spokojem, z szaloną wprawą.

Jak oni umieją wszystko robić porządnie! — pomyślał.

— Es war doch ein grobes Versehen, dies mit der Stute! — powiedział jeden.

Erazimow nadstawił ucha.

— Ach! Was... die Kerle im Hause haben doch Schnaps bekommen.

Erazimow zrozumiał teraz dlaczego Masza wróciła sama. Bydlaki popili się.

Uczyniło mu się zimno... straszliwie zimno, koło serca. Przepadły szanse ocalenia, jakieby przyjść mogło, gdyby Trofim zobaczył trzeźwymi, choć mniej więcej trzeźwymi oczyma biegającą Maszę.

Desperacya trwała niedługo. Ocknęła w nim instynkt samozachowawczy. Zaczął z rozpaczą niemal obliczać pozostałe możliwości.

Oczywiście, niema co tracić odwagi. Jest wprost niepodobieństwem porwać oficera bezkarnie w warunkach jak te oto. Oddział pracujący dziś wrócił już do wsi. Gdy tylko trochę odpoczną... te kanalie za długo spoczywają... i oczyszczą się, podoficerowie niezwłocznie przybędą z raportem do dworu. Nie znajdą mnie, wyślą raport do dworku pod lasem, a nie znalazłszy i tam, zaczną natychmiast poszukiwania. Dobrze, że kazałem wszystko tam... raportować. Chociaż ten właśnie raport dzienny w normalnych warunkach mógłby czekać choćby i do rana, mechanicznie uczynią, jak rozkazałem. To jedno.

— Ty, słuchajno!

— Słucham!

Znowu rozpoczęli rozmawiać. Erazimowowi błysnęło w myśli, że jednak musi z jego sprawą być źle, skoro ci tam... tak swobodnie przy nim rozmawiają, ale wnet się pocieszył, że może zapomnieli, że nie jest dobrze przykryty i może niejedno usłyszyć.

Znowu fala optymizmu wróciła.

— Tylko gdzie oni mnie wiozą, gdzie mnie wiozą! — myślał i żal mu się bardzo zrobiło, że przez krótki czas, kiedy

miał odsłoniętą twarz, nie zanotował w pamięci bodaj jednego jakiegoś znacznego szczegółu... bodaj drobiazgu...

— Jedno chciałbym wiedzieć! — powiedział oficer, i zaśmiał się.

— Cóżto naprzykład?

— Ano, jak się tam teraz we dworze sprawia nasz... Joann Nikiforowicz Schneege!

— To prawda. Musi pysznie wyglądać. Tylko nie wiem, czy z dobrym akcentem gada po rosyjsku.

— Phii... kapitalnie. Zresztą, co drugi Rus gada innym akcentem, to już taka zbieranina. Pozatem nie zapominaj, że to... Schneege... Tedy każdy akcent wystarczy.

Erazimow zdrętwiał. Mózg mu momentalnie zlodowaciał. Leżał jak trup, w piersiach czując tylko straszną, beznadziejną pustkę. Serce biło słabo, jak serce umierającego.

Wóz drżał ruchem monotonnym, bezustannym, desperackim, a w drżeniu tem, jak chód dalekiego jakiegoś zegara, dudniło miarowe tętno podków końskich.

Czas płynął, a on nie wiedział, że płynie, leżał jak kłoda.

Dopiero po jakimś czasie zaczęło mu wirować przed oczyma coś, jakby wiatrak. Kręciło się to z błyskawiczną szybkością i mieniło różnemi barwami...

Nie mógł zrazu pojąć co to takiego, nagle przypomniał sobie, że w dzieciństwie... dawno już temu... razu pewnego spadł z drzewa i uderzył głową w ziemię. Wówczas działo mu się tak samo. Widział ten sam wiatrak szatański.

Zjawiło mu się zaraz przed oczyma owo fatalne drzewo, dom obok... rzeka...

Zaczął myśleć.

— Wszystko przepadło!

Jęknęło mu w piersiach, jakby tam ktoś uderzył w gong o głębokim, ponurym dźwięku.

— Czy tylko ten witz na długo starczy?

Oficerowie zaczęli znowu rozmawiać. Nie krępowano się widać już wcale obecnością Erazimowa.

— Hm... nie na długo... zapewne, ale idzie o czas krótki tylko, aż wiadoma rzecz zostanie inaczej poprowadzona. Rozumiesz? Zresztą temu szukaniu jeszcze w inny sposób postaramy się kark skręcić.

— A więc jednak—pomyślał.—Gdybym się zdołał ocalić... gdybym mógł...

Wszystko było jeszcze możliwe, jak poprzód. Szło tylko o wybawienie z opresyi chwili. Ale jak... ale jak... A oni dalej gadają całkiem otwarcie. Oho! Już po mnie!

Nagle zaczął myśleć... o niej.

Już wiedział, już byłby przysiągł, że nie była w zmowie.

I pewny był nawet, że cierpi. Przez samą dobroć, cierpi niewątpliwie.

Nagle mignęła mu przez mózg przeraźna straszna błyskawica.

— Ona, zginie!

Było oczywistem, że osoba, z której domu porwał nieprzyjaciel oficera zginąć musi. Ochroniłoby ją jakotako niezwłoczne doniesienie do władzy, a tego ona nie zrobi... zrobić nie może.

On jeden mógł ją ocalić... on jeden! Zresztą nikt, na całym wielkim świecie nikt. On, albo śmierć.

Takimi ich życie związało ślubami w ciągu kilku sekund... niespodzianie... straszliwie... nieodwołalnie...

— Kochana... —pomyślał o niej, jako już o swojej... niezawodnie swojej, oddanej przez przeznaczenie.

Uczuł gorące, wielkie łzy, rozlewające się po policzkach.

Począł gorączkowo pracować myślą nad sposobami ocalenia. Ocalić się było to uratować od śmierci szczęście życia i wygrać sam wielki życia los.

Gdyby mógł podnieść ręce do zębów... nie, nie... wszak knebel. Boże... Boże!

Osłabł nareszcie i w poczuciu zupełnej bezsilności leżał, nie myśląc nic.

Przez świadomość jego płynęły jakieś niepewne, bezkształtne zjawy, a na rozchwiei tej migotliwej i zmiennej jedno się tylko trwaliło i nie przemijało.

Widział niewielki sarkofag z szarego piaskowca. Czyste jego linie odcinały się jasno od zielono-żółtego tła drzew. Na sarkofagu siedział cudny, biały paw, siedział nieruchomy, niewiadomo żywy, czy z marmuru kararyjskiego wykuty, a śnieżny jego, ledwo dostrzegalnie seledynowemi oczkami oznaczony ogon spływał jak strumień krystaliczny po szarych stokach nagrobka.

— Słyszysz? — powiedział jakimś dziwnym głosem jeden z jadących.

— Hm. Ja. Albo kozacy, albo... w każdym jednak razie trzeba gdzieś skręcić.

— Skręcić. Saperment! Księżyc świeci jak na złość całkiem jasno, mgła się rozeszła... Zum Teufel...

— Idzie, zdaje się cała sotnia.

— In jedem Falle palnę mu w łeb i koniec.

— Oczywiście, ale lepiejby było dostawić żywcem, jak tamtego... pamiętasz?

— Uhum. Ale coś niewyraźnie. Ano niema rady, tedy, wio in Gottes Namen! Jadę prosto, pewnie już zobaczyli wóz.

— Coś nie tęgie masz uszy! Trzeba było lepiej słuchać!

— Richtig! Nasmaruję sobie na drugi raz olejem z twojej głowy wyciśniętym!

— Żart na bok. Idzie znaczny oddział, a tacy rzadko zaczepiają. Najgorsze marudery.

— Tak, o ile to nie Czerkiesy. Tacy napadają razem z oficerami. To banda. Słyszysz? Śpiewają. Tak, Czerkiesy, jest i bałabajka. Ou! Es gefällt mir schlecht...

— Mamy formalne pasporty!

— Głupiś. Tu nie o idzie o formalności. Mamy za mało nabojów. Saperment, źle z nami!

Teraz i Erazimow słyszał już dokładnie dzikie pokrzykiwania, wycia, skowyt gwizdu na palcach, a nawet pobrzękiwanie bałabajki. W ciszy nocnej głosy niosły się z wyrazistością niezmierną. Szła jakaś burza, o odwrocie nie mogło być mowy.

Wóz zwolnił zupełnie i toczył się teraz, jak się pojmanemu zdawało, nad samym rowem.

Oficerowie przestali rozmawiać. Burza zbliżała się szybko.

— A szkoda, żem go wcześniej nie zastrzelił! Szkoda! — rzekł któryś z cicha. Teraz za późno.

— Pastoj' Pastoj! — doleciało wołanie dalekie jeszcze.

Zatrzymali się.

Z dzikim wrzaskiem obskoczyli wóz jacyś ludzie.

— Propusk jest? – zawrzasnął głos jakiś.

— Pożałusta! — rzekł któryś z jadących.

Oficer widocznie oglądał propusk, bo nic nie mówił przez chwilę. Inni atoli wyli dalej i ałłahukali nieznośnie. Przez wrzask mżyło ciągle natrętne brzęczenie bałabajki.

— Eto falszywyj propusk! — orzekł wreszcie oficer.

Miał on widocznie wyraźny zamiar na wóz.

W Erazimowa wstąpiła dusza. Byle zaczęli rabować, byle zaczęli!

— Ty, szpion...—powiedział oficer! Da, da, ty szpion.

Rozległy się jeszcze większe wrzaski. Wóz otoczyła sarabanda dyabelska tak, że niepodobna już było rozróżnić, kto co mówi i do kogo.

— Szpion! Kontrabandist!

Oto co jeno jeszcze mogło pochwycić ucho.

Ktoś musiał chwycić jednego z jadących za gardło, bo nagle rozległo się chrapanie i zaraz potem padł strzał.

Erazimow poznał suchy, jasny trzask pistoletu mauzerowskiego.

Nastała cisza zdumienia, ale zaraz gruchnęły ze wszystkich stron strzały. Straszny trzask palby rozjęczał się wokół. Powietrze rozedrgało się od przelatujących pocisków. Gwizdało na wszystkie strony.

— Jessus Maria!.. — krzyknął jeden z jadących i zwalił się ciężko na Erazimowa.

— Eto szpion! Eto Germaniec! — zawyły głosy.

Ponownie zatrzeszczała salwa.

Erazimow uczuł ból w kolanie. Widać poprzez półkoszki wozu szły kule. Ogarnął go niewypowiedziany strach, że umrze tutaj oto, nie mogąc się nawet ruszyć, że będzie zazrnięty jak cielę ze związanemi nogami. Szarpał więzy, ale nie mógł dać rady.

Usiłował przynajmniej wypluć knebel, ale i to nie szło, widać był przywiązany z wierzchu chustką.

Naraz posłyszał jęk konia... zaraz potem jego upadek.

Wreszcie uczuł jakieś, jakby lekkie ukłucie w piersiach i zrobiło mu się naraz bardzo gorąco.

Przed oczyma zjawił mu się znowu straszny młyn. Kręcił się, kręcił coraz to szybciej. Znikały jedne barwy, a na ich miejsce napływały inne. Potem wszystko się jakoś zaczęło zatracać... ujrzał drzewo... dom... rzekę... potem coś szarego. Poznał, że to niewielki nagrobek z piaskowca... Na kamieniu cudny, niewiadomo, żywy, czy wykuty z marmuru kararyjskiego, siedział niepokalanej bieli paw...

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
23402

DRUKARNIA
NAUKOWA
w WARSZAWIE